



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Nasi okupanci


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Nasi okupanci

OD AUTORA

Każdemu prawie w Polsce dziś wiadomo, że zjawił się Antychryst, noszący miano Tadeusz Żeleński, a pseudonim Boy. Wyklinają go z ambon, wypisują o nim niestworzone rzeczy w różnych mniej lub więcej świątobliwych pismach i pisemkach. Ba, kiedy ów Boy chce wygłosić odczyt, bodaj o pocie sprzed pięciu wieków, urządza się całe krucjaty, aby nie dopuścić do tego zgorzenia. Równocześnie *Sodaliczka Pań* w Krakowie odprawia zbiorowe modły „o nawrócenie się Boya”. (Autentyczne!).

Skąd się to wszystko wzięło? Z paru moich wystąpień w prasie. Antyreligijnych, bezbożnych? Ani trochę. W tych sprawach w ogóle nie zabieram głosu; raczej skłonny jestem powiedzieć z dobrym Villonem: „...chudziak ja ubogi — nie mnie rozprawiać tak podniosło — niech o tym sądzą teologowie — to kaznodziei jest rzemiosło...”. Poszło o sprawy świeckie. Bardzo nad tym boleję; ale cóż począć, że gdziekolwiek wyłoni się pałaca kwestia, w której ludzie głowią się i radzą, co czynić, aby na świecie było trochę lżej i trochę jaśniej, natychmiast wysuwa się złowroga czarna ręka i rozlega się grzmiący głos: „Nie pozwalamy! Nie wolno wam nic zmienić, nic poprawić. Wszystko musi zostać po dawnemu; niczego tknąć nie pozwolimy w gmachu ciemnoty i ucisku. Ktokolwiek chciałby ulżyć doli człowieka na ziemi, sprzeciwia się prawu Boga, sprzeciwia się woli bożej”.

Nie mogę w to uwierzyć. Mimo całego autorytetu tych specjalistów od interpretowania życzeń Stwórcy wszechrzeczy, nie mogę uwierzyć, aby wola boża miała być zawsze i wszędzie układna wobec bogaczy, a bezlitosna dla biedaków; aby osłaniała swym płaszczem kłamstwo, okrucieństwo i chciwość. To musi być jakieś nieporozumienie. Obawiam się, że nawet modły *krakowskich pań* — mimo że skądinąd tak wiele krakowskim paniom zawdzięczam — nie sprawią, abym w to uwierzył.

Zebrałem tedy tutaj inkryminowane artykuły, aby ułatwić ogółowi rozpatrzenie się w tym doniosłym przez swą treść zatargu. Daję je umyślnie bez zmian, tak jak były pisane¹, choćby nawet przez wzgląd na aktualność wymagały dziś pewnych przeobrażeń.

Niech ludzie dobrej woli czytają i sądzą.

Warszawa, w kwietniu 1932.

NOWA USTAWA MAŁŻEŃSKA

Spośród prac, które zyskały mi trochę cichego uznania, a dużo głośniejszych oburzeń, najwięcej hałasu wywołała mała książeczka pt. *Dziewice konsystorskie*. Miała kilka wydań, zrodziła powódź artykułów, enuncjacji. Dostała — wiem to poufnie — tego zaszczytu, że zainteresował się nią Watykan. Byłem tym wszystkim trochę zdziwiony. Bo przecież książeczka ta nie zawierała absolutnie nic, o czym by nie wiedzieli wszyscy; o czym by, mówiąc trywialnie, wróble nie świergotały na dachach. Stwierdziła, że wbrew wszelkim dogmatom i kanonom istnieją — pod mianem unieważnień małżeństwa — najautentyczniejsze katolickie rozwody, ale dostępne jedynie najzamożniejszym: cenzus majątkowy to

¹bez zmian, tak jak były pisane — Materiał polemiczny znajdzie czytelnik na końcu w *Przypisach*. [przypisy autorski]

ich jedyny istotny warunek, poza tym wszystkie trudności można obejść i usunąć. Że istnieje cała armia adwokatów tzw. konsystorskich, którzy z niewyczerpaną pomysłowością inscenizują te małe komedyjki. Dostarczają fałszywych świadków, aranżują krzywoprzysięstwa, płodzą usługowe świadectwa lekarskie, z mężatek i matek dzieciom robią patentowane dziewice, z najnormalniejszych kobiet rzekome lesbijki i uczą je zeznawać w tym duchu; słowem, kruczków i sposobów mają moc, oczywiście wszystko podług taksy, i to słonej.

To dla wybranych. Średniacy mają inny sposób: zmienić wiarę. Zmiana wiary dla celów rozwodowych stała się czymś najpotoczniejszym. Dyskutuje się ją na zimno w kancelarii adwokata w kosztorysie, ile że jest znacznie tańsza od rozwodu czysto katolickiego i o wiele szybsza.

Są wszakże ludzie, których mierzi to, aby tak ważne i poważne sprawy nie mogły być załatwiane inaczej niż szwindlem. „Prawo nie może zmuszać obywatela do kłamstwa” — pisał w dyskusji o ustawodawstwie małżeńskim prof. Wł. L. Jaworski, gorliwy katolik. Cytowałem wypadek pewnego dostojnika państwowego, który, sam katolik, syna dał ochrzcić w kościele ewangelickim, „iżby mógł przejść przez życie jako uczciwy człowiek”. Rzecz staje się szczególnie rażąca, gdy chodzi o wybitne jednostki, o dygnitarzy, których fałsz ściga nawet po śmierci i przy których trumnie odbywają się gorszące sceny oszukańczych rewindykacji religii, którą porzucili.

To jest zatem niejako *pierwsza i druga klasa* rozwodów. Ale i ta druga jest kosztowna, byle kto sobie na nią nie może pozwolić. *O trzeciej klasie* nie ma co mówić. Tu reguluje sprawy małżeńskie na wsi często arsenik i siekiera, w mieście załatwia się to na dziko, po prostu porzuceniem, konkubinatem, bez żadnej ochrony kobiety i dziecka.

Notowałem dalej, że załatwianie rozwodów przez zmianę wiary nie obywa się bez chaosu prawnego. Katolik, który weźmie w kościele protestanckim ślub z protestantką — a ileż dziś takich ślubów! — może w swoim konsystorzu uzyskać rozwiązanie małżeństwa bez najmniejszych trudności, wręcz bez zawiadomienia drugiej strony — nawet w razie istnienia dzieci! — przy czym sądy państwowe, terroryzowane przez sądy arcybiskupie, raz taki rozwód i jego cywilne następstwa uznają, innym razem nie, jak się zdarzy. Z dnia na dzień kobieta może się dowiedzieć, że została na bruku, z dziećmi, bez męża i bez ochrony prawnej.

I rzecz osobliwa: raz po raz pojawia się pełne namaszczenia orędzie dowodzące, że wszystko powinno zostać tak jak jest i że wszelka zmiana w tych gorszących i zozydających samą religię stosunkach byłaby naruszeniem „podstaw społeczeństwa i rodziny”! A przecież w tej części Polski, która uchodzi za najtrwalszą opokę religii i rodziny — w b. zaborze pruskim — istnieje rozdział ustawodawstwa cywilnego od kościelnego. W Królestwie Polskim śluby wyłącznie kościelne są instytucją narzuconą swego czasu przez Rosję, wbrew tradycjom kodeksu napoleońskiego i wbrew woli społeczeństwa.

Rzecz prosta, że te czynniki, które mają za zadanie zaprowadzić w budującej się nowej Polsce ład i praworządność, nie mogły — mimo całej kurtuazji dla sfer duchownych — podzielić tego stanowiska i uznać, że chaos, szalbierstwo i przywilej bogaczy mają wciąż pozostać jedyną normą prawną regulującą konflikty życia małżeńskiego. Wiadomo było od dawna, że nasza komisja kodyfikacyjna pracuje nad nowym ustawodawstwem małżeńskim. Prace te otaczała komisja aż nazbyt głęboką tajemnicą, tak bardzo rzecz wydawała się drażliwa. Szeptano sobie, że podobno nawet prace te są od dawna ukończone; że projekt — od kilku lat gotowy — przeszedłszy potrójny filtr redakcji, spoczywa w biurku ministra sprawiedliwości, zagwoźdzony tam wpływami czynników, które udaremniają normalny bieg tej ustawy. O treści ustawy również chodziły tylko głuche wieści, ponieważ komisja postanowiła, że ani jeden egzemplarz projektu nie wyjdzie poza jej biuro.

W końcu sytuacja zaczęła być skandaliczna. Można się było słusznie zapytać, kto właściwie w Polsce rządzi? Wreszcie po kilku latach komisja kodyfikacyjna zdecydowała się przerwać tę konspirację. W najbliższych dniach² główny twórca ustawy małżeńskiej, prof. Lutostański, ma ją przedstawić i skomentować w „stałej delegacji zrzeczeń i instytucji prawniczych”, po czym — jak słyhać — projekt ma być rozesłany odpowiednim czynnikom i skierowany na właściwą drogę.

²W najbliższych dniach — Pisane w październiku r. 1931. [przypis autorski]

I znowuż jak w tylu sprawach, jak wówczas, gdy chodziło o nowy kodeks karny, trzeba się dziwić bierności, z jaką społeczeństwo oczekuje, co — bez jego udziału — zdecyduje ktoś o jego losie i w czym potem bezradnie tkwić będą całe pokolenia. Tutaj bierność ta jest jeszcze bardziej uderzająca. Nie każdy siedzi w kryminale (choćby skądinąd na to zasłużył), ale każdy — czy prawie każdy — się żeni. I ani się kto spyta, jaka ta ustawa będzie, ani co się z nią dzieje!

Otóż skusiło mnie popełnić tutaj niedyskrecję. Odsłonię wam rąbek tego, o co niebawem rozpoczną się zapewne zacięte boje. A może wcale się nie rozpoczną, może znów ktoś potrafi ukreślić temu kark w ciszy gabinetu? W każdym razie, niech się ludziska dowiedzą, co o nich postanowiła nasza komisja kodyfikacyjna i jakie główne punkty zawiera projekt nowej ustawy małżeńskiej, ustawy — powiedzmy to od razu — rozumnej i odważnej, mimo iż z pewnością poszczególne jej punkty, rzucone w grono mężczyzn lub kobiet, nastrożyłyby temat do dyskusji co najmniej tyle, co niedawno grana w teatrze *Nowa umowa małżeńska* Bernarda Shaw. Ileż tematów dla dramatu czy komedii kryje bodaj ten arcypostępowy artykuł rozdziału o narzeczeństwie:

Art. 6. Jeżeli narzeczoney, z którym niewiasta zaszła w ciążę, umarł lub bez słusznego powodu odstąpił od zaręczyn, albo dał narzeczonej słuszny powód do odstąpienia, narzeczone może żądać przyznania jej od narzeczonego lub jego spadkobierców praw majątkowych na równi z żoną rozłączoną z winy męża.

Miałbym tu pokusę się wtrącić... Ale nie; celem mego felietonu nie jest dyskusowanie ustawy, ale po prostu poinformowanie czytelników o jej treści i brzmieniu.

Główny punkt zainteresowania skupia się na artykułach wprowadzających zdecydowanie ślubu cywilnego, z tym wszakże, że ślub kościelny może w zupełności ślub cywilny zastąpić i że wówczas nie ma już obowiązku brania podwójnego ślubu. Oto dotyczące paragrafy:

Art. 24. Po dopełnieniu czynności przedwstępnych przed właściwym urzędnikiem stanu cywilnego, narzeczeni mogą zawrzeć ślub, składając przed urzędnikiem stanu cywilnego *albo przed duszpasterzem* zgodne oświadczenie w przytomności dwóch świadków, że zawierają dożyłny związek małżeński.

Art. 25. Ślub może być zawarty przed którymkolwiek urzędnikiem stanu cywilnego Rzeczypospolitej Polskiej albo przed duszpasterzem uznanego w Polsce wyznania, do którego należy jedno z narzeczonych.

Art. 26. Ślub przed duszpasterzem ma skutek cywilny na równi ze ślubem zawartym przed urzędnikiem stanu cywilnego, o ile przedstawiono protokół urzędnikowi stanu cywilnego celem sporządzenia aktu małżeńskiego.

Artykuły te uzupełnia *Projekt ustawy o aktach stanu cywilnego*, który stanowi:

Art. 176. Duszpasterz, przed którym zawarto ślub, sporządza protokół ślubu w 3 egzemplarzach, w księdze protokółów ślubu. Wszystkie 3 jednobrzmiące egzemplarze podpisują nowożeńcy, świadkowie oraz duszpasterz.

Jeden egzemplarz protokołu wydaje duszpasterz zaraz nowożeńcom celem złożenia go urzędnikowi stanu cywilnego miejsca zawarcia ślubu; drugi egzemplarz sam przesyła temuż urzędnikowi stanu cywilnego; trzeci, grzbietowy, zachowuje u siebie.

Pomysłowy ten sposób, dzięki któremu ślub kościelny staje się niejako automatycznie ślubem cywilnym, miał na celu uszanowanie uczuć religijnych, które mogłyby razić konieczność dopełniania ślubu dwa razy, cywilnie i kościelnie. Tymczasem, rzecz znamienna, właśnie ten kompromisowy pomysł stał się kamieniem obrazy i najwięcej podobno natyka się na sprzeciw w sferach duchownych. Woleliby raczej osobne śluby cywilne niż ten proceder, w którym akt ślubu z podpisem księdza może się stać później punktem wyjścia ewentualnego postępowania rozwodowego.

W rozdziale o małżeństwie zwracają uwagę artykuły stanowiące zupełną równość praw i obowiązków obojga małżonków:

Art. 32. Każdy z małżonków obowiązany jest przyczyniać się wedle swej możliwości do ponoszenia ciężarów utrzymania rodziny.

Art. 40. Żona może obok nazwiska męża zatrzymać rodowe, jeżeli to zastrzeże w akcie małżeństwa.

Art. 41. Mąż i żona mają równe prawa i równe obowiązki wobec dzieci.

Art. 42. Mąż i żona wspólnie sprawują władzę rodzicielską. W razie niezgodności rozstrzyga ewentualnie sąd.

Daleko odbiegliśmy od tak niedawnej jeszcze przysięgi „posłuszeństwa”!

Przechodzimy do kapitalnego punktu, jakim jest rozdział *Rozłączenie i rozwód*, tu bowiem mieści się istotny sens małżeństwa cywilnego. Nie tylko projekt ustawy przewiduje rozwód, ale czyni rozróżnienie między stadłami, które mają dzieci, a które ich nie mają. Dla małżeństwa bezdzielnego wystarczy po prostu zgodna wola obu stron, oczywiście przy odpowiednim — aż nadto długim! — czasie trwania postępowania rozwodowego:

Art. 54. Małżonkowie w wieku powyżej 25 lat, niemający wspólnie małoletniego potomstwa, zdolni do działań prawnych, mogą za zobopólną zgodą po 3 latach trwania małżeństwa, wystąpić do sądu z prośbą o rozłączenie (separację) bez podania powodów.

Art. 55 i 56. Sąd wezwie ich i po wyjaśnieniu prawnych skutków spyta, czy trwają w zamiarze: jeżeli tak, postanowi rozłączenie na rok jeden i orzeknie po wysłuchaniu wniosków małżonków w sprawie ich zamieszkania oraz ciężarów utrzymania.

Art. 57. Jeżeli po roku potwierdzą to, sąd orzeknie rozłączenie na czas nieograniczony, nie uznając winy żadnego z małżonków.

Po trzech latach, ewentualnie wedle uznania sądu wcześniej, rozłączenie to może przejść w rozwód, anulujący zupełnie małżeństwo.

Inaczej przedstawia się rzecz tam, gdzie są dzieci: tu już do rozłączenia trzeba powodów.

Art. 58 określa szereg punktów, w razie których sąd może postanowić rozłączenie na żądanie jednego z małżonków, jeżeli uzna, że względ na dobro małoletnich dzieci nie stoi temu na przeszkodzie, oraz jeżeli stwierdzi trwały rozkład pożycia. Powodami takimi są: cudzołóstwo (w pewnych określonych warunkach), opuszczenie, odmowa środków utrzymania, więzienie wyżej lat pięciu lub hańbiące przestępstwo, życie rozwiązłe, zajęcie hańbiące, pijaństwo i narkomania, weneryczne choroby w stadium zaraźliwym, umysłowa choroba, niemoc płciowa bez względu na czas jej powstania. (Nie można powoływać się na niemoc płciową osoby, która przekroczyła 50 rok życia, oraz osób, które od 10 lat pozostają w związkach małżeńskich).

Art. 61. Sąd orzeka rozłączenie na czas nieograniczony i ustala, czy i która ze stron ponosi winę.

Art. 62. Małżonkowie rozłączeni nie mogą wstępować w nowy związek za życia drugiej połowy.

Art. 71. Domniemanie ojcostwa nie ma zastosowania względem dziecka poczętego podczas rozłączenia małżonków.

Art. 77. Po upływie 3 lat od uznania małżeństwa za rozłączone, sąd na żądanie jednego z małżonków orzeknie zamianę rozłączenia na rozwód, przez co małżeństwo ustaje.

Sąd może, na żądanie drugiego małżonka, odmówić zamiany na rozwód, jeżeli uzna, że dobro małoletnich dzieci stoi temu na przeszkodzie.

Sąd, na żądanie osoby rozłączonej wyrokiem prawomocnym, może ze względu na okoliczności sprawy skrócić powyższy termin 3 lat wedle uznania.

Art. 78. Osoba rozwiedziona może wstąpić w nowy związek małżeński.

Art. 79. Żona wraca do nazwiska panińskiego; jeżeli ma małoletnie dzieci nazwiska męża, sąd może jej przyznać zachowanie nazwiska nabytego przez małżeństwo.

Oto najbardziej zasadnicze postanowienia nowej ustawy małżeńskiej. Kilkanaście artykułów, a jakże olbrzymi krok na drodze uczciwości i prawdy. Czyn tym godniejszy uznania, że tutaj, jak i w swoich innych pracach, komisja kodyfikacyjna wyprzedza niejako nasze społeczeństwo. Zamiast znaleźć poparcie w jego głosach, w jego żądaniach, pracuje wśród powszechnej bierności, wlecze ze sobą ogół niezdolny do myślenia o sobie.

Aby to sobie uprzytomnić, wystarczy zwrócić uwagę na jedną okoliczność. Nową ustawą małżeńską powinny by się przede wszystkim interesować kobiety. Wszelka ustawa małżeńska jest — poza ochroną dziecka — ochroną kobiety; chodzi o to, czy dobrze spełnia zadanie. Bo o ile wedle litery kodeksu oboje małżonkowie stanowią równorzędne jednostki, o tyle w życiu jakże inną linią biegnie życie kobiety a mężczyzny, jakże odmienne są tego życia warunki, szanse i fluktuacje. O ileż głębiej wszystko, co dotyczy małżeństwa wrzyna się w życie kobiety. I uderzyło mnie jedno: w komisji, która układała ten projekt, nie ma — oczywiście! — ani jednej kobiety: czy przynajmniej zasięgało

opinii kobiety w charakterze bodaj rzeczoznawcy? Prawda, że ta ustawa to jest rama ogólna, że o szczegółach będzie rozstrzygał w każdym wypadku — sąd. Sąd, sędzia... znów mężczyzna. Jakże teoretyczne jest jeszcze równouprawienie kobiet!

I przypomniała mi się taka scena. Przed kilku miesiącami zaproszono mnie do pewnego stowarzyszenia kobiecego na wieczór dyskusyjny. Z ciekawości poszedłem. (Trochę to przypominało jeszcze *Emancypantki* Prusa i ową uroczą scenę, gdy jedna z uczestniczek na próżno domaga się prawa głosu, bo zawsze spychają ją z porządku „wnioski nagłe” i „wnioski w kwestii formalnej”. Czeka i czeka cierpliwie w poczuciu praworządności — w końcu, po dwóch godzinach, uzyskuje to prawo głosu, aby... powiedzieć, że lampa filuje, czego w ferworze dyskusji nikt nie zauważył). Otóż były tam na porządku dziennym dwa referaty. W pierwszym wybitna prawniczka referowała właśnie nową ustawę małżeńską, do której jakimś sposobem udało się jej dotrzeć; w drugim znakomita powieściopisarka mówiła ogólnie o stosunku kobiet do miłości. Następnie otwarto dyskusję. Można było przypuszczać, że dyskusja będzie dotyczyła głównie pierwszego punktu, zwłaszcza że chodziło o postanowienie jakiejś akcji w tej sprawie; podczas gdy drugi punkt — kobieta i miłość — zdawał się raczej rzeczą osobistą i mniej nadającą się do publicznych roztrząsań. Tymczasem — o dziwo! — nikt nie zażądał głosu w sprawie nowej ustawy małżeńskiej, natomiast nie można było nastarczyć z udzielaniem głosu paniom i panienkom, które wygłupiały się na temat, że każda kobieta ma prawo do „wielkiej miłości” itd.

Niewiele tedy może liczyć komisja kodyfikacyjna na pomoc społeczeństwa. A jednak trzeba sobie powiedzieć: od stworzenia tej ustawy do jej powołania do życia droga jest jeszcze długa i ciężka. Jeżeli społeczeństwo chce tę ustawę mieć, jeżeli chce w praktyce rozwodów, niestety (mówię *niestety*, bo wcale nie jestem entuzjastką rozwodów, jak mi to wmawiano!), niestety nieuchronnych — wyjść z dotychczasowego bagna szalbierstw, lupiestwa i niesprawiedliwości, będzie musiało o to walczyć.

Rozmawiałem o tej ustawie z jednym z naszych dygnitarzy. Pytałem go, czy sądzi, że nowa ustawa przejdzie. Wzruszył ramionami. — Czy ja wiem? odparł. Go tu gadać. To jest przede wszystkim kwestia pieniężna. Kler na tym dużo traci. *Jura stolae* trzeba by odszkodować. To są duże sumy. Skąd na to wziąć pieniędzy? *Nervus rerum*, w tym rzecz, wszystko inne idzie dopiero potem...

Zwracam uwagę, że to nie ja mówię, ale ów dygnitarz.

„ŁOPATOLOGIA”

Wpadł mi w rękę fachowy artykuł p. Henryka Jasińskiego w „Przeglądzie Współczesnym” pt. *Na marginesie nastrojów kryzysowych trwale wnioski z przemijających doświadczeń*, poświęcony „regulacji urodzeń”. Autor z tak sympatycznym uznaniem powołuje się na moje artykuły w tej sprawie, że przypomniało mi to ją i dodało bodźca, aby powrócić do niej raz jeszcze.

Czemu w „Wiadomościach Literackich”? — zapyta ktoś. Właśnie w „Wiadomościach Literackich” jest dla niej miejsce. Dla dwóch przyczyn. Po pierwsze, jak słusznie podnosi autor wspomnianej rozprawki, najważniejsze tu jest poruszenie opinii, zmiana nastawienia i nastrojów, oczyszczenie gruntu z zastarzałych narowów myślowych, z narosłych wiekami całymi fałszów i komunałów. I gdzież to robić przede wszystkim, jeżeli nie w piśmie literackim, organie tych, którzy powinni być najczulsi na objawy życia, których zadaniem jest tworzenie opinii.

A drugi powód, czemu miejsce dla tej sprawy jest w piśmie literacko-artystycznym, to że zagadnienie populacji wiąże się najściślej z kulturą kraju. Bez usunięcia tej bolączki, tak jak tkwimy po uszy w owej „pauperyzacji materialnej”, o której mówi prof. Adam Krzyżanowski (*Pauperyzacja Polski współczesnej*), tak będziemy się osuwali coraz głębiej w pauperyzację duchową.

Mimo że wypowiadałem się nieraz w tej kwestii i mimo że p. Jasiński parę razy cytuje moje formuły, pozwolę sobie znów ja cytować jego. W ten sposób będzie poważniej.

Otóż, zdaniem p. Jasińskiego, zarówno w kwestii mieszkaniowej jak w kwestii rolnej, jak w wielu innych wreszcie, wszelkie środki zaradcze, których się szuka, będą złudne, dopóki się omija to, co jest główną przyczyną złego, tj. nadmierną produkcję ludności

w Polsce. Mimo że tę „horrendalnie” — jak mówi — wysoką ilość urodzeń reguluje poniekąd wysoka śmiertelność niemowląt, i tak jest ona ogromna. Powoduje to nędzę i zbrodnię. W tym polskim przyroście ludności, którym dudki tak się chełpią, szukają nasi uczeni głównego źródła różnic przestępczości, która np. *w całej Szwecji daje sześćset spraw karnych rocznie, a u nas dziesięć tysięcy w samej tylko Warszawie.*

Jedynie tedy — wywodzi p. Jasiński — ograniczenie przyrostu może być lekarstwem, wszystko inne jest okłamywaniem samych siebie. Pierwszym zadaniem jest uświadamiać w tej mierze ogół, wciąż o tym przypominać:

„Uporczywe przypomnianie i powtarzanie przy każdej sposobności jest tu tym bardziej konieczne, że chodzi o pewne wnioski oczywiste i zgodne z elementarnie logicznym rozumowaniem, ale sprzeczne z głęboko zakorzenionymi nałogami myślowymi, a wskutek tego niepopularne, niechętnie słuchane, skwapliwie usuwane poza obręb świadomości albo też zbywane, nawet przez ludzi nieraz poza tym rozsądnych, za pomocą tanich sofizmów albo zdumiewających swą niefrasobliwością koziółków myślowych”.

Wszystko się zmieniło; to, co było niegdyś siłą — stało się słabością; co było bogactwem — stało się nędzą; co było błogosławieństwem — stało się przekleństwem; ale mimo zupełnej zmiany okoliczności zabobon płodności trwa.

„Dowodzi to — mówi p. Jasiński — iście zdumiewającej bezwładności ludzkiego umysłu, który do pojęć raz wytworzonych w jakichś długo działających warunkach odnosi się już nadal jako do czegoś raz na zawsze ustalonego i słusznego, choćby te pojęcia w warunkach zmienionych stały się już dawno całkowicie zbędne i w skutkach swoich najoczywistej szkodliwe”.

Religia — największy wróg regulacji urodzeń — częściowo ustąpiła z tego stanowiska. Niedawny zjazd anglikańskich biskupów w Londynie³ oświadczył się za regulacją. Mimo to, powtarza się bezmyślnie, że jest ona sprzeczna z *etyką chrześcijańską*. Poglądów religii niepodobna zresztą dyskutować, ponieważ przesuwają one cele człowieka i sens jego życia w inną sferę; nie dobro ludzi na ziemi jest jej przedmiotem. Dlatego trudną bywa nieraz współpraca państwa z religią, gdyż zadaniem państwa jest, bądź co bądź, ułatwiać ludziom życie — na tym świecie.

Stąd też te rozbieżności w interpretowaniu „etyki”. Dużo tu komu o etykę chodzi! Regulacja urodzeń od dawna uznana za sprawę użyteczności publicznej w Holandii, od dawna najszerszej praktykowana w Skandynawii, świeżo popierana przez najkonserwatywniejszą Izbę Lordów w Anglii, tępiona jest w liberalnej Francji. Uznaje ją zjazd biskupów anglikańskich, a bojkotują ją protestanckie Niemcy. Imperializm niemiecki i włoski, lęk Francji przed mnożnością sąsiadów, są przyczyną różnic w poglądach, które po staremu przemycą się pod flagą etyki; podczas gdy jest to sprawa przede wszystkim militarystyki, fałszywie zresztą pojętego, bo więcej z tej płodności mają więzienia, szpitale i cmentarze niż ministerstwa wojny.

Gdy chodzi o uświadamianie naszego ogółu w tej mierze, następuje się parę uwag. Regulacja urodzeń — mimo że ma odrębne swoje znaczenie i doniosłość — jest tylko fragmentem wielkiego ruchu, jaki dokonuje się w świecie pod znakiem reformy życia płciowego. Istnieje światowa liga tej reformy, odbywają się kongresy, biorą w ich pracach udział najwięksi pisarze. U nas prawie nic się o tym nie wie, nie mówi się o tym, nie pisze. Nie tylko nie ma żadnej organizacji, ale nie ma żadnych informacji. Dzienniki nasze,

³Religia (...) częściowo ustąpiła z tego stanowiska — Biskup Liverpoola, dr David, ogłosił świeżo książkę pt. *Małżeństwo a regulacja urodzeń* przeznaczoną, wedle jego słów, na to, „aby myślącym ludziom dopomóc, jak chrześcijańską naukę we właściwym sensie stosować i jak ją dostosować do współczesnych zagadnień życia oraz osobistych problemów”. „Obie wersje angielskiego modlitewnika stwierdzają, powiada biskup, że małżeńskie obcowanie płci ma, obok rozmnażania się, jeszcze inne cele. Rodzice mają nie tylko prawo, ale i obowiązek regulować przyrost dzieci i liczbę ich utrzymywać w możliwych granicach. Z odpowiedzialnością za nadmierną ilość dzieci rodzice nie mogą załatwić się słowami: „Dzieci Bóg zsyła”. Skoro małżeństwo uznaje równe prawa obu stron, tedy żądanie, aby kobietę chronić od zajścia w ciążę, musi być uznane. Zdobywcze regulacji urodzeń dały nam moc, której nie powinniśmy odtrącać. Trzeba tylko tę siłę dobrze stosować”. [przypis autorski]

pochłonięte walkami politycznymi, nie zdają sobie sprawy z tego, że sprawy obyczajowe ważniejsze są może nawet od formy rządu i od brzmienia konstytucji.

Nie ma dziś w Polsce sprawy gwałtowniejszej, ważniejszej. Powinno się o niej mówić wciąż, krzyczeć, uświadamiać, działać. Powinno by się sporządzić rodzaj katechizmu i rozrzucić go w milionach egzemplarzy. Trzeba tam uczyć, że:

1) Płodność, którą lubimy się chełpić, jest blichтром i klęską; jest w znacznej mierze złudna, ponieważ konsekwencją jej jest równoczesne zwiększenie śmiertelności dzieci. Otóż dziewięciomiesięczna ciąża, karmienie i hodowanie dziecka skazanego na śmierć jest olbrzymim ubytkiem kapitału, nieszczęściem rodziny, ruiną sił matki.

2) Nadmierna ilość dzieci chowanych w ciasnym mieszkaniu, bez powietrza i słońca, najczęściej niedożywionych, stale zmniejsza wartość materiału ludzkiego. Nadmiar umiera, upośledzenie zostaje.

3) Niemniej odbija się to na stronie moralnej. Ojciec zapracowany dla zbyt licznej rodziny, matka zajęta wciąż nowym rodzeniem, nie mogą się oddać wychowaniu dzieci, które chowają się same, jak mogą — często w rymsztoku.

4) Zapobieganie ciąży jest najskuteczniejszym środkiem przeciw pladze poronień, których roczna liczba dochodzi wielu kroć tysięcy.

5) Regulacja urodzeń jest najskuteczniejszym środkiem zmniejszenia statystyki dzieciobójstwa, samobójstw, nieślubnych dzieci, małoletnich zbrodniarzy i wreszcie — nę-dzy!

6) Zgodne porozumienie się celem ograniczenia ilości urodzeń jest rozwiązaniem współżycia narodów.

7) Zwalczanie akcji regulacyjnej jest typową *podwójną moralnością*, bo ci, co zbożnie zachwalają płodność, sami, chociaż lepiej sytuowani materialnie, strzegą się licznych rodzin i korzystają z wszelkich zdobyczy nauki w tej mierze.

8) Regulacja urodzeń, ograniczając bezmyślną mnożność proletariatu i podnosząc tym siłę ekonomiczną kraju, może dodatnio wpłynąć na dietność tej części inteligencji, która dziś, spauperyzowana, a lepiej uświadomiona, chroni się przed dzieckiem, ile może.

Szkicuję tutaj tylko kilka punktów, które należałoby dopełnić i rozpowszechniać wszystkimi sposobami. Tymczasem odbywa się zacięta propaganda w duchu wprost przeciwnym. Straszliwym faktem, głosowi nauki, koniecznościom życia, przeciwstawia się puste słowa.

Mówi się o pobudkach religijnych, wzbraniających zapobiegania ciąży. To chyba żarty! Nie ma tak pobożnej kobiety, która by to brała serio. (Druzgocących dowodów na to dostarczył świeży spis ludności. Okazało się, że w Poznańskim, tej ostoi klerykalizmu, przyrost wynosi zaledwie 2%, podczas gdy są dzielnice, w których dochodzi 30%. Nie religia zatem, ale po prostu wyższy lub niższy stopień kultury jest tu decydujący). Na ogół wszystkie robią, co mogą, aby uniknąć niepożądanego ciąży. Używają licha wie czego. Rzecz tylko w tym, że nie znają sposobów lub używają ich źle; że mimo ich używania zachodzą w ciążę i wówczas, o ile warunki nie pozwalają im na urodzenie dziecka, po prostu ronią, „psują się”, jak to nazywa straszliwie obrazowy język ludu.

Agitacja za regulacją urodzeń w Niemczech, w Anglii, w Ameryce, trwa od dziesiątków lat. W wielu krajach zwyciężyła całkowicie, w innych częściowo; w niektórych zahamowana jest przemocą. U nas nie robiło się w tej mierze nic, mimo że żadne prawo tego nie zabrania. Na szczęście, zaczyna się robić. *Sekcja regulacji urodzeń przy Robotniczym Tow. Służby Społecznej* otworzyła pierwszą poradnię; urządziła pierwszy wieczór dyskusyjny na ten temat; wydała broszurę napisaną przez lekarza pt. *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*. Lada dzień ma być otwarta poradnia samorządowa w Łodzi.

Pisałem zresztą o tej sprawie⁴ nieraz; a z faktów, które zestawilem, nietrudno chyba ocenić znaczenie regulacji urodzeń dla poziomu kulturalnego naszego kraju. Weźmy dwie rodziny: jedna ma, w ciągu pewnej ilości lat, troje dzieci; druga, w ciągu tej samej ilości lat, ośmioro dzieci, z których pięcioro odumrze, a troje się wychowa. Jasne jest, że choroby, ciężce, porody, karmienie, grzebanie, troski, bieda, pochłoną całą nadwyżkę materialnego i moralnego budżetu, która mogłaby pójść na jakiegokolwiek potrzeby duchowe.

⁴Pisałem (...) o tej sprawie — *Zmysły, zmysły...* i broszura *Jak skończyć z piekłem kobiet?* [przypis autorski]

Sądzę tedy, że dostatecznie wylegitymowałem się z przyczyn, dla których pozwoliłem sobie czytelników pisma literackiego zająć kwestią, o której zresztą teraz będzie coraz głośniejsz; — jestem tego pewny. Obowiązkiem każdego jest zapoznać się z nią, przemyśleć ją, a jeżeli dojdzie do przeświadczenia o jej ważności, powinien współdziałać w dążeniu do naprawy. A działać tu może każdy, gdyż, jak zaznaczyłem, chodzi przede wszystkim o przemianę pojęć; o to, aby akcja podjęta w tym kierunku spotkała się ze zrozumieniem. Skoro to nastąpi, w ciągu jednego czy dwóch pokoleń, Polska może inaczej wyglądać.

LIST BISKUPI

Dziewięciu biskupów wydało list pasterski w sprawie projektu nowego kodeksu karnego (w szczególności art. 231) oraz w sprawie poradni *Świadomego Macierzyństwa*. List ten nastęrcza mi parę uwag.

Jedną ze zdobyczy współczesności jest oddzielenie religii od spraw politycznych. Bardzo niewyjaśniony jest natomiast zakres ingerencji kleru do spraw społecznych. Raz po raz, kiedy czynniki państwowe — czy inne świeckie — rozumiejąc niecelowość lub szkodliwość pewnych urządzeń i ustaw, widząc płynące z nich nieszczęścia i zło, chcą zmienić coś na lepsze, zestroić z wymaganiami życia, kler zakłada swoje *veto*. Że jednak argumenty, jakimi się w tym posługuje, zacierają najczęściej samą zasadę konfliktu, sądzę, że z pożytkiem będzie nieco rozjaśnić te sprawy.

Troski państwa a kościoła są bardzo różne. Państwo — pomijając nawet fakt, że najczęściej jest zbiorem jednostek rozmaitych wyznań — ma za przedmiot swoich starań byt człowieka *na ziemi*. Celem jego jest zmniejszenie cierpienia, zapewnienie swoim obywatelom maximum zdrowia, dobrobytu, oświaty. Kościół natomiast — gdyby jego politykę brać najidealniej — ma zadania zgoła inne. Życie doczesne ludzi jest dlań jedynie chwilką wobec wieczności za grobem; z tej perspektywy wszystkie męki doczesne są bez znaczenia, a nawet mogą być pożądane, o ile zbliżają do nagród wiekuiustych, do których znowuż pierwszym warunkiem jest przestrzeganie nakazów kościoła.

Każde z tych dwu stanowisk ma swoją logikę, ale pogodzenie ich bywa niezmiernie trudne.

Nawet tam, gdzie kościół wchodzi w świeckie potrzeby obywateli, sposoby jego działania jakże są różne od sposobów państwa! Tak np. w palącej sprawie bezrobotnych, kościół może się ograniczyć do zarządzania mszy świętej na ich intencję; ale trudno sobie wyobrazić ministra skarbu, który by nakazał swoim urzędnikom trzydniowy post na intencję poprawy bilansu handlowego.

Rozbieżność tę najlepiej zilustruje pewne wspomnienie, wyniesione z dawnych czasów, kiedy byłem lekarzem w szpitalu dla dzieci. W szpitalu tym mieściły się wszystkie oddziały, od chirurgii do chorób zakaźnych. Zmorą wiszącą wciąż nad szpitalem była obawa rozwleczenia infekcji. Zwłaszcza szkarlatyny, co było najczęstsze i najgroźniejsze. Istotnie, cóż okropniejszego dla lekarzy, którym rodzice oddali zdrowe dziecko dla jakiejś drobnej operacji — przepukliny lub skrzywionej nóżki — a które ginie, zaraziwszy się w szpitalu szkarlatyną! Toteż surowe przepisy obowiązywały zarówno lekarzy jak służbę: lekarzom, którzy pracowali na oddziale zakaźnym, nie wolno było zachodzić na inne oddziały; służbie nie wolno było stykać się z resztą personelu.

Otóż przepisy te nie obejmowały tylko jednego czynnika: zakonnic. Siostry zakonne pielęgnujące chorych schodziły się — ze wszystkich oddziałów — po kilka razy dziennie w kaplicy na wspólne modlitwy, jak nakazywała ich reguła. Siostry nie nosiły kitłów płóciennych, bo tego nie przewidywała reguła; ba, reguła przepisywała, że ich suknie zakonne i cała odzież ma być wspólna! Siostry nie podlegały przepisom o dezynfekcji i antyseptyce.

W rezultacie mordercza szkarlatyna raz po raz wybuchała w szpitalu. Wówczas stary profesor wzywał podwładnych, mówił kazania, burczał, zrzędził; jednego tylko się nie poruszało: sprawy zakonnic. A kiedy który z młodych lekarzy o tym natracił, profesor, wściekły, odwracał rozmowę. Wiedział, że tu nic nie zmieni, nie czuł w sobie energii do walki, jaką by trzeba podjąć, wołał o tym nie myśleć. Istotnie, cóż znaczyły dla siostr jakieś nowinki nauki Pasteura wobec reguły, która wiodła się od przedwiecznych i świątobliwych założycieli zakonu.

Spójrzmy teraz na to z punktu siostr; znam ten punkt widzenia dobrze, bo nieraz z nimi rozmawiałem. Zachorowanie dziecka na szkarlatynę było dla nich po prostu dopustem bożym; bez woli bożej nie nastąpiłoby; toteż na całą naszą antyseptyczną krzątaninę siostry patrzyły z politowaniem. Przypuszczać, że wspólna modlitwa siostr może być rozsądkiem zarazy, to trąciło bluźnierstwem. Skoro jedno lub drugie dziecko umarło, widać tak było trzeba dla dobra jego i jego rodziców; cóż zresztą mogło się trafić szczęśliwszego niewinnemu dziecku, niż umrzeć w chwili, gdy ma zapewnione niebo, nim doszło wieku niebezpieczeństw, które czyhają na duszę człowieka.

Oto *credo*, które siostrzyczki głosiły w całej naiwnej czystości. Ma ono swoją niezłomną logikę i swoje piękno, tylko jak je pogodzić z lekarskim — świeckim — przeznaczeniem szpitala? Toteż gdy te anioły czuwały przy zmarłym dziecku z oczami wpatrzonymi w niebo, nam lekarzom zdarzało się słyszeć z ust zrozpaczonych rodziców wyrzut: „Zbrodniarze!”.

Te siostrzyczki przychodzą mi na myśl nieraz, gdy czytam pewne dostojne orędzia w sprawach społeczno-lekarskich...

A teraz drugi obrazek z tego samego szpitala. Jeden z oddziałów szpitala stanowił „klinikę”, przeznaczony był dla pracy naukowej. Otóż młody asystent (dziś jest profesorem), pełen miłości wiedzy, świeżo wróciwszy z zagranicy, chciał wprowadzić postępowy naówczas sposób mierzenia temperatury niemowlętom w kiszce stolcowej, jak się to robi we wszystkich klinikach, gdyż inny sposób jest u małych dzieci bezwartościowy z punktu ścisłości naukowej. Zakonnice nie tylko odtrąciły to z oburzeniem, ale zbuntowały służące szpitalne, które również oświadczyły, że takiego „paskudztwa” robić nie będą. Asystent odwołał się do profesora; profesor interweniował: bezskutecznie. Raz po raz łapiąc służbę szpitalną na nieposłuszeństwie, stary rektor Jakubowski wyrzwał wreszcie termometrem o ziemię. „Proszę siostry — rzekł do głównej organizatorki *biernego oporu* — jeśli tak będzie dłużej, to mnie w końcu diabli wezmą”. — „To będzie inny pan profesor” — odrzekła siostra, spuszczając oczy z uśmiechem chrześcijańskiej rezygnacji.

Świeżo ogłoszone orędzie biskupów w jednym przynajmniej sprawę stawia jasno. W projekcie nowego kodeksu chodziło o to, aby wskazania do przerywania ciąży — dotąd tylko lekarskie — rozszerzyć na tzw. *społeczne*. Otóż orędzie biskupów wyraźnie stwierdza, że nie uznaje *nawet wskazań lekarskich*, przyjętych — jak wiadomo — od bardzo dawna przez wszystkie kodeksy świata. Wedle tego orędzia, *w żadnym wypadku*, nawet gdy chodzi o życie matki, przerwanie ciąży nie jest dopuszczalne. To bardzo cenne wyznanie. Próba cofnięcia sprawy na tak okrutne i niezyciowe stanowisko jest dobitnym stwierdzeniem, że między stanowiskiem ludzkości i nauki a stanowiskiem kleru wszelki kompromis jest daremny i że żadne ustępstwa w sprawie nowego kodeksu nie mogłyby kościoła zaspokoić. Najlepiej tedy będzie, gdy każdy pozostanie przy swoim; państwo dbając o doczesne dobro obywateli, kler zapewniając im szczęśliwą śmierć sposobami, jakimi rozporządza, ale bez odwoływania się do pomocy panów prokuratorów.

Ale kościół nie poprzestaje na stanowisku dogmatycznym; pragnie umotywować je względami świeckimi. Ucieka się do argumentacji „racjonalistycznej”; mówi o populacji, o pożytku ojczyzny, powołując się na *statystykę!* Co do tych rzeczy, to lepiej by je zostawić czynnikom bardziej powołanym, i to w interesie samej powagi naszego episkopatu. Nie bardzo wypada, aby orędzie podpisane przez dziewięciu biskupów zawierało rzeczy, które muszą przyprawić o parsknięcie śmiechem nawet skromnie oświeconego człowieka, gdy np. w nim wyczyta, iż „z racji tych zabiegów, w Rosji sowieckiej już 37% kobiet jest nieplodnych”⁵! Skąd te humorystyczne cyfry? Zdaje mi się, że zgaduję skąd: słyszeliśmy to w słynnej interpelacji⁵ senatora Thullie. Ale że dziewięćdziesięcioletniemu staruszkowi coś się przyśniło, z tego nie wynika, aby dziewięciu biskupów miało to powtarzać i sygnować swoim nazwiskiem.

W ogóle, kiedy się czyta to orędzie, można by mniemać, że „święta Tulia” jest u nas papieżem. Bo znowuż, jak za panią matką pacierz, orędzie to powtarza za senatorem Thullie baśnie o poradni *Świadomego Macierzyństwa*. I w jakich słowach!

„Bóg — powiada orędzie biskupie — dał wolność ojczyźnie, a jej dzieci chcą dla niej nowy grób wykopać. Już nawet kopią, bo w myśl tego projektu (dozwalającego w pew-

⁵w słynnej interpelacji — Patrz *Dokumenty*, na końcu. [przypis autorski]

nych warunkach poronień), powstają poradnie działające publicznie. Rodzice prawdziwie katolicy, prawdziwie kochający Ojczyznę, nigdy pod żadnym pozorem nie powinni iść za tą wstrętną, iście szatańską pokusą”.

Słyszeliśmy już to w senacie. Ale jest różnica. Kiedy prof. Thullie wnosił swą interpelację, mógł ostatecznie być źle poinformowany. Starzy ludzie bywają lekkomyślni. Ale od tego czasu rzecz była dokładnie omówiona i wyjaśniona w prasie; ja sam zamieściłem parokrotnie odpowiedź. I oto znowu orędzie biskupie swoje klątwy na poronienia miota w kierunku poradni... przeciwporonieniowej. Nie mogąc tak dostojnego ciała podejrzewać o złą wiarę, musimy przypuszczać, że dziewięciu biskupów znów nie raczyło się poinformować w sprawie, w której głos zabiera. A jednak, z punktu widzenia chrześcijańskiego, sądzić by należało, że zanim się coś nazwie *dziełem szatana*, godzi się wprzód dowiedzieć, o co chodzi.

Oczekujemy tedy z całą ufnością, iż czcigodni biskupi *lepiej poinformowani* pośpieszą naprawić błąd przeciw miłości bliźniego, popełniony przez tychże biskupów *źle poinformowanych*. To będzie bardzo piękny przykład dany *Katolickiej Agencji Prasowej*, która wolałaby duszę zgubić, niż sprostować cokolwiek, kiedy jej się zdarzy minąć z prawdą.

DRUGI LIST BISKUPI

Zaledwie przebrzmiało echo gromów rzuconych przez dziewięciu biskupów na komisję kodyfikacyjną z powodu pewnych paragrafów kodeksu karnego, a oto znowu dwudziestu pięciu biskupów ciska w nowym liście anatemy na tę komisję za jej projekt ustawy małżeńskiej. I w jakich słowach!

„Zamierzone prawo jest sprzeczne z prawem bożym. Zamierzone prawo jest posiewem bolszewizmu u nas w rodzinie. Zamierzone prawo grozi ojczyźnie śmiertelną zarazą duchową i ostateczną klęską. Obcy zaleją ziemię naszą! — Co nie daj Boże”.

Tymi słowami kwalifikuje list biskupi rezultat kilkoletniej pracy ludzi o najlepszej woli, którzy czynili, co mogli, aby w projekcie swoim pogodzić pojęcie ludzkich praw i uczciwości z poszanowaniem dla przywilejów religii.

„My, biskupi — czytamy dalej w liście — zebrani w Częstochowie w październiku b. r., modliliśmy się przed cudownym ołtarzem Matki Boskiej, prosząc Ją o pomoc, aby to zło zagrażające ojczyźnie naszej zostało usunięte. Do modlitwy i to ustawicznej wzywamy was wszystkich, kapłani i wierni Kościoła Świętego... aby za wstawiennictwem Najświętszej Marii Panny świętość i nierozzerwalność Sakramentu małżeństwa zachowane zostały. Matko, królowo korony naszej, błogosław Twojej krainie, błogosław Twoim dzieciom. Amen”.

Mój Boże! Kiedy to czytam, znowuż nasuwa mi się przypowieść z lat dawnych. Był swego czasu w Galicji słynny ksiądz Stojałowski, działacz ludowy, głęboki znawca psychologii naszego chłopca, niezwykły gracz na wiecach. Otóż w rozstrzygających momentach, kiedy nastrój zebrania był wątpliwy, miał on niezawodny sposób. Stawiając wniosek, poddawał go pod głosowanie tak: „Dzieci, kto jest za wnioskiem, ten klęknij tu ze mną i zaśpiewaj *Serdeczna Matko*”. I klękał. Któryż chłop, widząc, że ksiądz klęka, aby zaintonować *Serdeczna Matko*, nie klęknij i nie zaśpiewaj chórem? Odśpiewawszy, ten wyga nad wygami wstawał z klęczek, rozglądał się po sali i mówił: „Zatem wniosek przeszedł”.

Podobnie tutaj. Cóż zrobi prof. Lutostański, twórca nowej ustawy małżeńskiej? Ot, wygłosi jakiś odczyt w towarzystwie prawniczym i tyle. Nie włoży infuły, ani Rappaport nie wyjdzie przed nim w komeżce i z dzwonkiem. Nierówna walka.

Ale znam ludzi, którzy czytali ten list biskupi nie bez uczucia pewnej grozy. To ci, którzy albo sami, albo ich krewni i bliscy znajomi, brali katolicki rozwód, czyli tzw. „unieważnienie małżeństwa”; ci, którzy dokładnie poznali kulisy i kosztorysy *nierozzerwalności*. Ci mogli słusznie podziwiać, że biskupi się nie boją, aby w chwili, gdy wymawiają te zaklęcia, piorun z nieba nie spadł i nie spalił konsystorzów, w których w tej samej chwili może pracuje — i jakimi sposobami! — armia fachowców nad „rozłączaniem tego, co Bóg złączył”. I cały patos dostojnego orędzia nie zmienia tego, co mówią fakty: o *nierozzerwalności* małżeństwa nie może tu być mowy, może chodzić jedynie o monopol w jego rozrywaniu oraz o ograniczenie tego przywileju na ludzi bogatych.

Ksiądz, Chłop

I dlatego owe uroczyste modły o to, aby jedynym i wyłącznym sposobem rozstrzygnięcia jednej z najważniejszych spraw życiowych pozostało nadal w Polsce świętokradztwo i symonia, robią niesamowite wrażenie...

NASI OKUPANCI

Termin użyty w tytule nasunął mi się, kiedy czytałem enuncjację ks. prymasa Hlonda. Istotnie, kiedy się czyta ten list w sprawie nowej ustawy małżeńskiej, przechodzący w gwałtowność swojej znane orędzie 25 biskupów, ma się wrażenie, że to mówi przedstawiciel postronnego mocarstwa, rezydujący w naszym kraju, ale obcy, przemawiający tonem władcy. Mamy już w naszej historii takie smutne wspomnienia...

„Już z okazji ostatniego święta papieskiego — pisze ks. prymas — napiętnowałem niesłychany projekt ustawy o małżeństwie jako zamach... jako zuchwałą próbę... wydania rodziny polskiej na bezceństwo bolszewizmu... Komisja kodyfikacyjna ośmieliła się jednak zlekceważyć... Nie można dość stanowczo odeprzeć tych haniebnych zakusów”... I tak dalej.

Napiętnowałem... zuchwałą... bezceństwa... ośmieliła się... haniebne zakusy... Co słowo, to obelga; i to, dzięki duchownemu charakterowi ks. prymasa, wolna od rygorów Bozewicza⁶. Tak przemawia rzymski dygnitarz do wielkiego ciała najpoważniejszych prawoznawców, powołanych przez polski rząd celem przygotowania nowych ustaw!

„Bolszewizm”... Wszystko bolszewicy. Wiemy już teraz, co pod tym tak nadużywanym słowem rozumieć. Hektorowie, profesorowie uniwersytetu, sędziowie i prezesi Sądu Najwyższego, to wszystko są bolszewicy, nie mający innej troski, jak tylko wydać rodzinę polską na bezceństwa. Wszyscy; — bo projekt ustawy przeszedł jednomyślnie. Nawet najwierniejszy z wiernych, cnotliwy prof. Makarewicz, też odrzucony i pohańbiony jako bolszewik! Któż tedy został sfanatyzowanym biskupom? Święta Tulia i święta Zyta. Ale nie lekceważmy tego. Wspominałem o swoistym sposobie, w jaki niegdyś ksiądz Stojałowski poddawał wnioski pod głosowanie na wiecach. Nie przeczuwałem, że tak wiernie skorzystają księża biskupi z jego recepty: już zarządzono we wszystkich kościołach śpiew *Pod Twoją obronę* przeciw projektowi komisji kodyfikacyjnej...

Są w tej sytuacji osobliwe paradoksy. Oto np. państwowe radio nadaje obelżywe kazania, wymierzone przeciw projektowi państwowej komisji. Rząd najwyraźniej wydaje na łup swoją komisję kodyfikacyjną. „Oni jej nie uważają za swoją (tak mi tłumaczył ktoś znający stosunki); w tej komisji nie ma ani jednego pułkownika”. Zapewne, to jest argument; niemniej ta miękkość rządu, który aż nadto twardą ręką umie bronić swego autorytetu, musi tutaj zastanowić.

Milczą wszystkie pisma; albo milczą, albo zachowują wstydlivy „obiektywizm”. Nawet nasze sławne dzienniki — Boże zmiłuj się! — *masońskie*. Milczy socjalistyczny *Robotnik* który, odkąd został ciurą klerykalnej endecji, pilnie się strzeże, aby niczym nie zamącić harmonii „wspólnego frontu”. Słowem, dzienniki informują nas co dzień o wszystkich najdalszych wypadkach i katastrofach, ale nie mówią o tym, co społeczeństwa najbliższej dotyczy.

A biskupi szaleją. Niedługo czekaliśmy na skutki konkordatu, owego niepoczytalnego konkordatu, dającego biskupom przywileje, jakich nie mieli w Polsce nawet w średniowieczu, konkordatu, który czyni z nich wyłącznie przedstawicieli Rzymu, luźnie związanych z naszym społeczeństwem, czujących się ponad naszym prawem.

I kiedy się czyta te orędzia, które spadają teraz jedno po drugim, uderzyć musi ich obcość, twardość. Nikt by nie pomyślał, że to chodzi przecież o dobro ludzi, ich owieczek. Oto np. orędzie w sprawie nowego projektu kodeksu karnego. Zupełnie słusznie mógłby ten projekt zainteresować naszych biskupów. Mogłoby ich np. poruszyć wprowadzenie kary śmierci, tak sprzecznej z przykazaniem *nie zabijaj*, mogłaby ich uderzyć bezsilność pewnych dążeń kodeksu wobec braku odpowiednich instytucji humanitarnych. Cóż za pole dla działania chrześcijańskiego! Otóż, nic z tego wszystkiego nawet nie zwróciło uwagi naszych prałatów; w całym kodeksie zainteresował ich tylko jeden punkt: mianowicie to, że w pewnych wypadkach nieszczęśliwa kobieta może być — o zgrozo!

⁶Bozewicz — autor *Polskiego Kodeksu Honorowego*, zawierającego zasady postępowania honorowego, w tym reguły dotyczące pojedynków. [przypis edytorski]

— zwolniona od kilkuletniego więzienia. Przeciw tej kobiecie wyruszyło aż dziewięciu biskupów z pastorałami. Poza tym — zdają się mówić — męczcie się, wieszajcie, więźcie, katujcie, co nas to obchodzi!

Druga rzecz — ustawa małżeńska. Kto zna nastrój i skład komisji kodyfikacyjnej, jej oględność i umiarkowanie, ten zrozumie, że komisja ta aż nadto była skłonna iść na rękę rzecznikom kościoła w sprawie tej ustawy. Nawet jej projekt w tym właśnie wypadł niezręcznie, że chciał być zanadto kompromisowy; że zamiast jasno i stanowczo oddzielić stronę cywilną od kościelnej, starał się te dwie rzeczy, o ile można, skojarzyć. I jeżeli nasi kodyfikatory zdecydowali się w końcu wypuścić swój projekt bez aprobaty kleru, to widać dlatego, że wszystkie próby porozumienia okazały się daremne. A to, co ks. prymas Hlond i 25 biskupów przedstawiają jako „bolszewickie bezceństwo”, to jest po prostu zbliżenie się do tego, co istnieje we wszystkich krajach, co Królestwo Polskie miało przed stu laty, co b. zabór pruski — własna diecezja prymasa Hlonda — ma jeszcze dziś... Gdyby wierzyć ks. prymasowi, w całej Europie ludzie żyją jak zwierzęta! I tam jakoś kościół godzi się z istniejącym stanem rzeczy. Ale bo też w innych krajach nie ma mowy o tej *okupacji* znanej tylko w Polsce i — do niedawna — w... Hiszpanii.

O co zresztą chodzi? Jeżeli formuła komisji kodyfikacyjnej jest nie po myśli kościoła, można by się wszak porozumieć co do jej zmiany; ale cała rzecz w tym, że kler nie chce żadnego porozumienia, nie chce unormowania tej sprawy; nawet dzisiejszy chaos i chroniczny skandal stosunków prawnych są miłsze niż jakiś porządek, o ile by ten porządek nie przyznawał mu absolutnego monopolu, cła i myta we wszelkich sprawach małżeńskich. Chodzi o to „ucho igielne”, przez które, wbrew słowom Pisma, przechodzą jedynie bogacze...

I znów uderzyć musi ten twardy, nieludzki ton. Nic ich nie obchodzi cierpienia ludzi, demoralizacja, krzywda, zamęt prawny. Nigdy w tych orędziach nie zabrzmiała nuta współczucia. Cierpieć, męczyć się i... *placić*, to jedyna rola człowieka na tym ziemskim padole. Zwłaszcza *placić*. I to jest charakterystyczne: o wszystkim mówią te orędzia, tylko nie o kwestiach materialnych. Utałała się taka kurtuazja, bardzo wygodna; wobec kleru, który — zbiorowo czy pojedynczo — jest najbardziej nieubłagany, gdy idzie o sprawy pieniężne, stale przystoi udawać, że te rzeczy nie istnieją, że wszystko rozgrywa się w wymiarach *zaziemskich*.

Tak więc o cokolwiek chodzi, o szkolnictwo czy o kodeks karny, czy wreszcie o nową ustawę małżeńską, wszędzie ci nowi wielmoże przeciwstawiają się jakiegokolwiek zbawczej i koniecznej reformie, wszędzie nieubłaganie ścigają własne „mocarstwowe” cele, obce społeczeństwu, w którym żyją. Wiemy, czym straszą i co robią; ale co dają? Czym zamaniestowali swój udział, swoje istnienie w ciężkim okresie, jaki przechodzimy? Msza na intencję bezrobotnych; zeszpecenie jednego z placów projektem brzydkiego pomnika i — przede wszystkim — wyciskanie ostatniego grosza z biedoty na wszystkie sposoby. A grosz, który dostanie się do tego mieszka, już stracony jest dla obiegu!

A ich sposoby? Dość zajrzeć do pism i pisemek klerykalnych; miarę tego daje zresztą sama *Katolicka Agencja Prasowa!* Wstyd powiedzieć, ale wystarczy ujrzeć ten podpis K.A.P., aby mieć uczucie, że człowiek dotyka się czegoś oślizgłego, brzydkiego; aby wiedzieć, że „komunikat”, sączony na całą Polskę jak ślina, zawiera potwarz lub kłamstwo, czelne, obliczone na najniższy poziom odbiorcy. Dam drobny przykład, sam w sobie mało ważny, ale charakterystyczny. Świeżo całą Polskę zalały komunikaty K.A.P. o tym, że mariawicki arcybiskup Kowalski entuzjazmuje się Boyem i tytułuje go w swoich artykułach „Kochany kolego”. Ambo meliores, *dwaj koledzy* — haftuje na ten temat za *Kapem* parę tuzinów gazetek. W istocie zaś był w mariawickim „Głosie Prawdy” artykuł, ale nie za mną tylko przeciw mnie, nie przez arcybiskupa Kowalskiego tylko przez niepodpisanego autora, i nie autor artykułu mówi tam „kochany kolego” do mnie, tylko ja mówię „kochany kolego” w fikcyjnej rozmowie do fikcyjnego literata... Oto próbka „katolickiego” systemu prasowego. Ale jak to zorganizowane! Wystarczy zelgać w centrali w Warszawie, a już echa tego wracają z najdalszych zakątków Polski przez cały miesiąc. Warto się abonować w *Informacji Prasowej Polskiej*, aby studiować proces krążenia potwarzy.

Tak, organizacja znakomita. I na niej zasadza się siła tej prepotencji z jednej strony, z drugiej zaś na rozproszkowaniu, na bierności oświecenijskich żywiołów, na tchórzostwie

prasy, tej nawet, która uchodzi za wolnomyślną. Nasze dzienniki licytują się w przypochlebianiu klerowi; i one grają na ciemnotę mas. Ale zdaje się, że tym razem biskupi przesolili. Skoro czterdziestu kilku członków komisji kodyfikacyjnej wybieranych spośród najbardziej zrównoważonych żywiołów, zdecydowało się przeciwstawić klerowi, narażając się świadomie na obelgi i kłątwy, to znak, że przebrała się miara buty i wicherzycielstwa prałatów i że wobec ich destrukcyjnej działalności nasi aż nazbyt cierpliwi kodyfikatorzy też musieli powiedzieć swoje *Non possumus*.

Po ich też stronie, mimo niecofającej się przed niczym agitacji, stoi całe oświecone społeczeństwo. Powinno to dać pobudkę do zorganizowania się, do stworzenia jakiejś Ligi Ludzi Wolnych, czy czegoś podobnego (może *Liga im. Bolesława Śmiałego?*...), aby się bodaj policzyć, aby sobie dodać otuchy przez poczucie wspólności. Nie chodzi tu wcale o stawanie przeciw religii, której nikt i nic tutaj nie zagraża; chodzi o to, aby strząsnąć jarzmo nowej okupacji, które grozi wolnej Polsce. Liczne głosy, które otrzymuję z całego kraju, dowodziłyby, że myśl ta jest dojrzała; może by kto zajął się jej urzeczywistnieniem. Niechże nasza komisja kodyfikacyjna, która mimo omyłek, jakie mogą się jej zdarzyć, pracuje szczerze nad stworzeniem nowoczesnych podstaw prawnych naszego życia, czuje, że ma silne oparcie. A jeżeli nasi okupanci każą swoim Zytkom śpiewać *Pod Twoją obronę*, nie pozostanie nam nic innego, niż zaśpiewać... odpowiednio zmodyfikowaną *Rotę*.

NIEBEZPIECZNA FIKCJA

Widowisko, na które patrzymy w tej chwili, godne jest uwagi: doniosłość jego przerasta nawet o wiele przedmiot, który mu dał powód. Mam na myśli reakcję, którą wywołał projekt nowej ustawy małżeńskiej. Przygotowywany przez szereg lat, obmyślany z całą rozważą przez komisję kodyfikacyjną, która reprezentuje z pewnością najbardziej zachowawcze i umiarkowane sfery naszego prawoznawstwa, projekt ten od pierwszej chwili ujawnienia rozpętał istną burzę. Bez najmniejszej próby porozumienia się, uzgodnienia stanowisk, nasze wysokie duchowieństwo rzuciło niemal kłótwę na pp. kodyfikatorów, potraktowało tych czterdziestu kilku srebrnowłosych starców jak chłystków, zuchwałców, buntowników, łobuzów. Znane są listy pasterskie biskupów i prymasa. Ale to była dopiero przygrywka, po której nastąpiła zorganizowana agitacja przeciw projektowi. Nad jej formą i metodami warto się zastanowić.

Katolicka Agencja Prasowa zakasała rękawy i wzięła się do roboty. Komunikaty podpisane „KAP” mają swoją zasłużoną reputację; uczyniły przy tej okazji, co mogły, aby tę reputację usprawiedliwić. To jest centrala gazów trujących. A jaki rozwinięto terror wśród swoich, świadczy fakt, że kiedy niepodjezany chyba o „bezbożnictwo” ksiądz Urban, jezuita, powiedział swoje niezależne słowo, natychmiast, najwyraźniej „pod rewolwerem” musiał w upokarzającej formie wszystko odwołać i wszystkiego się wyprzeć.

Ale to, co znają czytelnicy pism stołecznych, niczym jest w porównaniu do tego, co się dzieje w całej Polsce, na prowincji. Tam dopiero działa się słowem i pismem! Ambona, wiec, gazetka lokalna... System zawsze jeden: podają fałszywe tezy, dorabiają do nich fałszywy komentarz, na tej podstawie uzyskują lub wymuszają rezolucje i protesty obalamuconej ludności, te protesty znów przez centralę wysyłają w świat jako „żywiolowy odruch społeczeństwa” i tak w kółko.

Czyni się to w sposób najbardziej bezwzględny, zarazem obliczony na grubą ciemnotę. Zohydzają projekt niemilej ustawy jako *bolszewicki, bezczelny, bezwstydnny, bezbożny* (same b). Zwłaszcza „bolszewicki”; przy czym oczywiście przemilcza się, że jest on jedynie bardzo zapóźnionym zrównaniem z urzędzeniami od lat istniejącymi w całej Europie. Opowiada się w drastycznej formie, że rząd chce wprowadzić „psie małżeństwa”; że chodzi o to, aby każdy mógł co tydzień zmieniać żonę, rzucić starą, a brać młodą; przemilcza się zaś to, że rozwód cywilny, ze swoim szeregiem warunków i swoją wieloletnią kwarantanną, będzie nieskończenie trudniejszy do uzyskania niż owo katolickie „unieważnienie”, które każdy bogaty człowiek może dziś sobie przez adwokata konsystorskiego zafundować; że ujednostajnienie prawa małżeńskiego właśnie stanie się ochroną dla kobiety, którą dziś za pomocą prostej zmiany religii mąż może w każdej chwili rzucić i zostawić na bruku; że w każdym wypadku ustawa przede wszystkim ma na względzie *dzieci*, których katolickie „unieważnienia” w ogóle nie biorą w rachubę. Plecie się smalone duby

o „małżeństwach lindsejowskich”, krzycząc wniebogłosy, że „sam Lindsey” odwołał swoje poglądy w ostatniej książce; przy czym najwyraźniej nikt z piszących o tym nie widział na oczy owej ostatniej książki Lindseya (*Życie niebezpieczne*), która jest tylko rekapitulacją i wzmocnieniem jego poglądów, bynajmniej nie odwołaniem. (Ale co to zresztą ma do rzeczy?) W końcu — i to już szczyt humorystyki — kler występuje w obronie swoich owieczek, lamentując, że cywilna ustawa małżeńska... podroży śluby i obciąży ludność nowym podatkiem!!

Co tam zresztą argumenty! Grunt to obelgi, jakie wszystkie pisemka prowincjonalne, dzielnie w tym obsługiwane przez „KAP”, wylewają kubłami na komisję kodyfikacyjną, złożoną z „masonów i niedowiarków, którzy „chcą zmusić Polaków do zaparcia się Boga i podeptania moralności chrześcijańskiej”; komisję, której „bezcelność i bezwstyd” da się porównać tylko z Sowietami, itd.

W ten sposób „poinformowaną” ludność zagania się do podpisywania protestów. Chorzy w szpitalach muszą podpisywać pod grozą szykan ze strony siostrzyczek! Zdrowi — pod grozą rygorów kościelnych. W Łucku po nabożeństwie młodzież szkolna musiała przysięgać, że będzie walczyła z tą bolszewicką ustawą. Odmawia się sakramentów kmiotkowi na Pomorzu, o ile nie uzna prof. Lutostańskiego bolszewikiem i rozpustnikiem. Nie dziw, iż potem czytamy w „Dzienniku Gdynskim”, że w Gdyni Tow. Rzemieślników i Rybaków „przystępuje do Stołu Pańskiego, aby uprosić Boga o łaskę oświecającą dla członków komisji kodyfikacyjnej, żeby skreśliła punkty sprzeczne z zasadami wiary katolickiej z projektu nowego prawa małżeńskiego”...

Czy nie byłoby lepiej wprost porozumieć się z komisją kodyfikacyjną, niż rozmawiać z nią za pośrednictwem rybaków z Gdyni? Może by jej wskazać te punkty? Ale wówczas okazałoby się, że te punkty wzięte są z ustawodawstw innych katolickich krajów (konkordat belgijski!), gdzie kościół dawno się z nimi pogodził. I dlatego trzeźwo patrzący ksiądz Urban nie widział tych „punktów” i radził naszemu duchowieństwu z gruntu odmienić taktykę...

Kto wie, jakimi środkami rozporządza na wsi lub w małym miasteczku duszpasterz i jak daleko może sięgać jego presja, ten łatwo sobie wyobrazi technikę zbierania tych podpisów. Ale przy tym sposobie informowania mogą między nimi być szczerze; i są z pewnością. Zabawne tylko jest, że najobfitszy plon tych protestów zbiera się w b. zaborze pruskim, gdzie od dawna obowiązuje — ba, dalej idące od projektu naszej komisji! — właśnie to cywilne ustawodawstwo małżeńskie, o które jest cały rwetes! Trudno o kunsztowniejsze arcydzieło mistyfikacji niż to, którego dokonał tutaj nasz kler.

Ale jaki ma cel ta walka, w której często nawet pastorale zmienia się w widły; jaki cel to agitowanie mas, to podawanie w pogardę państwa, które ci nieboracy ledwie nauczyli się znać i szanować? Kogo to ma oszukać? Nie rząd, bo każdy rząd sam wie najlepiej, jak się robi takie nastroje i takie opinie. Przecież nie plebiscyt będzie to rozstrzygał. Cóż z tego, że rybaczki w Gdyni modlą się o światło dla p. Lutostańskiego, kiedy tu raczej trzeba by się modlić o nawrócenie i o siłę męczeństwa dla Janusza Radziwiłła.

Ta fala demagogii, kłamstwa, oszczerstw, antypaństwowego podjudzania płynie bez żadnej przeszkody w pismach i na wiecach; ba, nawet radio oddano jej na usługi. Może w tym jest kalkulacja, że samą swą napastliwością i złą wiarą akcja ta zużyje się i obudzi zbawczą reakcję; że społeczeństwo potrafi dać jej odpór. Wszak tu nie tylko o „rozwoły” idzie, ale o coś więcej!

Jak dotąd odpór ten jest zadziwiająco słaby. O ile część pism oddała się niepodzielnie na usługi K.A.P., o tyle inne pisma starają się, o ile można, nie wypowiadać; te nawet, które objawiają sympatie dla projektu komisji, omawiają ten projekt bardzo rzeczowo, abstrakcyjnie — z umysłu obojętnie; — czasem jedynie między wierszami dla umiejących dobrze czytać przyszpilając zbożne szalbierstwa napastników. Ale w sumie uderzający jest brak proporcji między jawnością i zuchwalstwem ataku a dyskrecją i wstrzemięźliwością obrony.

Tłumaczy się to poniekąd układem stosunków w niepodległej Polsce. W chaosie pierwszych naszych poczynań, kler umiał się stać od początku wielką siłą. Świetnie zorganizowany, czujny, karny, z wiekowymi tradycjami polityki, wzbogacony wpływem dzięki naszej ordynacji wyborczej, umiał wyzyskać każdą sposobność, każdą cudzą słabość czy

nieuwagę, każdy błąd. Żadne ze stronnictw nie lubi go mieć przeciw sobie. Jeszcze bardziej zaakcentowało się to od czasu „przewrotu majowego” i rozłamu, jaki po nim nastąpił. Rozłam ten zmącił naturalne ugrupowania warstw, łącząc najsprzeczniejsze żywioły zarówno po stronie rządu, jak po stronie opozycji. Wszystko, co nie stanowi bezpośredniego atutu w walce opozycji z rządem — choćby skądinąd najbardziej zasadnicze — stało się nieistotne, a przynajmniej nieaktualne; stało się czymś, czego się nie rusza, aby nie osłabiać „wspólnego frontu”. Charakterystyczne jest, że po obu stronach kompromis odbył się kosztem „lewicy”... Braterstwo socjalizmu z endecją sparaliżowało odpór, jaki socjalizm w innych warunkach byłby dawał zaborczości klerykalnej. Gdyby nie partyzancki animusz p. Budzińskiej-Tylickiej, nasz organ socjalistyczny bodajże najchętniej zignorowałby całą tę awanturę kodyfikacyjną. Aby nie martwić księdza Panasia. Po stronie rządowej ten sam znowuż skutek sprawia wzgląd na „konserwę”.

Dodajmy, że i charakter naszej prasy uległ przeobrażeniu. Kiedy czytamy np. pamiętnik Świętochowskiego, wydaje się nam niemal legendą typ pisma, w którym grupa ludzi walczy o swoje poglądy lub w ogóle pragnie je wyrazić. Owszem, mamy pisma walczące, ale dość osobliwego typu. To jest, można powiedzieć, polska specjalność: jeden ewangelik dobiera sobie trzech wolnomyślicieli, dwóch Żydów i półtora masona i przy ich pomocy redaguje wojujące pismo katolickie. Czasem tylko zdarzają się małe nieporozumienia, gdy np. w jednej rubryce widnieje natchnione orędzie o nieprzejednaniu kościoła w kwestii sakramentów, a w drugiej rubryce tegoż pisma czytamy o małżeństwie włoskiego wynalazcy Marconiego: „Na przeszkodzie małżeństwu stoi na razie fakt, że Marconi nie ma dotychczas rozwodu z pierwszą żoną. Jak wiadomo, rozwód we Włoszech nie istnieje, przeto Marconi zwrócił się do Watykanu z prośbą o unieważnienie małżeństwa. Prawdopodobnie, wobec wysokich wpływów narzeczonej (ojciec jej należy do gwardii papieskiej), prośba zostanie uwzględniona. Ślub zapowiadają na wiosnę”... („Kurier Warszawski”).

Mamy zatem, jak z tego widać, pisma klerykalne. Natomiast miejsce dawnych pism liberalnych, demokratycznych, postępowych, czy jak je tam nazwać, zajęły przeważnie pisma „informacyjne”, które najchętniej unikają drażliwych przedmiotów. W tych dziennikach również prywatne opinie piszących nie mają żadnego wpływu na opinię pisma...

Przed wojną było w Polsce co najmniej kilkanaście dużych dzienników o zabarwieniu antyklerykalnym; dziś nie ma ani jednego, mimo że napór kleru jest nieskończenie większy, nastrój zaś inteligencji miejskiej zdecydowanie antyklerykalny. Pod tym względem dzienniki nasze nie są w żadnej mierze odbiciem rzeczywistości. I jestem przekonany, że pismo, które byłoby wyrazem prawdziwej opinii czytelników w tych sprawach, miało by zapewnione powodzenie. Trudno zrozumieć, czego się oni wszyscy boją? Straszaka, którego sami fabrykują.

Z tego wszystkiego powstaje paradoksalny obraz. Odkąd ogłoszono projekt ustawy małżeńskiej, biskupi grzmia kłótniami, radio co niedziela lka omal że nie pieśnią *Boże, coś Polskę* przeciw naszej komisji kodyfikacyjnej, dzienniki przepełnione są mniej lub więcej zelżywymi protestami i to wszystko bez żadnej przeciwwagi. Któż by się z tego domyślił, że projekt ten, jednomyślnie uchwalony przez naszych luminarzy prawa, przyjęło całe oświecone społeczeństwo z żywym uznaniem! I jakże ma być prawdziwy obraz, skoro nasza prasa (wiedząc doskonale, co one są warte!) drukuje wszystkie sztucznie fabrykowane protesty i rezolucje, chowa zaś do teki lub rzuca do kosza setki autentycznych głosów, piętnujących z oburzeniem demagogię kleru.

W ogóle, gdyby wnosić z tego, co znajduje wyraz w naszych pismach, można by nabrać przekonania o niesłychanym wręcz sklerykalizowaniu naszego kraju. Niewątpliwie, biorąc zewnętrznie, Polska jest klerykalna. Kina ani dancingu nie otworzy nikt bez święconej wody. Ale klerykalna była do ostatnich czasów i Hiszpania; pod tą powierzchnią mogą się kryć niespodzianki. Podejrzewam, że i u nas jest w tym wiele fikcji i ta fikcja ma swoje niebezpieczeństwa. Źle jest, gdy przy maszynie parowej brak jest strzałki, która wskazuje ciśnienie.

Bo przy tych sposobach fałszowania opinii alboż my wiemy, co nurtuje pod tą skorupą? Bodaj na wsi, tej ziemi obiecanej naszych pasterzy? Wieś! Zapewne, to jest największa siła kleru, te miliony głosów bab wiejskich, które można rzucić na szalę w dniu wyborów,

te procesje, które można wyprowadzić w całej Polsce przeciw „rządowym psim weselom” p. Lutostańskiego. To jest potęga, bodaj *potęga ciemnoty*. Ale czy taka pewna? Niewątpliwie, nasz chłop jest silnie przywiązany do religii, do obrzędów. Przywiązany jest do religii „raczej mimo księdza, niż przez księdza”, jak to w rozmowie ze mną sformułował pewien ziemianin. Ale czy ten chłop, pilnie utrzymywany w ciemnocie, podburzany przeciw własnemu państwu, czy ten bezdomny często proletariusz z dziesięciorgiem dzieci, targujący się raz po raz o nową trumienkę, której ksiądz mu bez dobrej zapłaty nie pokropi, będzie zawsze równie podatnym gruntem dla sobkostwa i chciwości w sutannie? Czy kryzys obecnej nędzy (podczas którego wyciska się wciąż po staremu miliony na *misje murzyńskie!*) nie jest równocześnie momentem niebezpiecznych rewizji, momentem refleksji w głowach najmniej do myślenia nawykłych? I właśnie w tym momencie nasz kler rozpętuje akcję jakby po to, aby — sposobem prowadzenia walki — unaocznic swój przerażająco niski poziom etyczny i umysłowy. Jadą — jak się to mówi — „na całego”. Nie ma kłamstwa, na które nie byliby gotowi, gdy chodzi o zwalczenie przeciwnika; nie ma bredni, której by w swoje owieczki nie spodziewali się wmówić. Sprowadzają walkę do tumanienia i terroryzowania najciemniejszych w nadziei, że w ten sposób zawsze będą mieli większość.

Ale to jest gra obosieczna. Bo mimo że duchowieństwo nasze zlekceważyło z góry w tej akcji wszystko, co w Polsce jest wartościowszego, niepodobna przecież zapobiec temu, że ludzie patrzą i wyciągają wnioski. Patrzy na tę akcję inteligentniejszy robotnik i nauczyciel ludowy; patrzy mnóstwo tych, którzy nie mogą się wypowiedzieć, ale którzy wiedzą, co myśleć o tej oszalałej wojnie i o jej pobudkach. Dostają dość często listy — przeważnie z najsilniej *okupowanych* dzielnic — otóż uderzony jestem bijącą z nich nienawiścią i wzgardą dla kleru. Czy celem tej księżej konfederacji jest utrwalić w ludności przekonanie, że katolicyzm to jest szkoła szalbierstwa i cynizmu? Może ta cała akcja naszego kleru to jaka masonowska robota? Podobno zdarzały się wypadki, że mason zostawał biskupem!

I jeszcze jedno. Ilekroć chodzi o usprawiedliwianie kleru, zawsze wysuwa się straszaka *Bolszewii*, od której kler ma być obroną. Ale ten przykład ma dwa oblicza. Przecież właśnie w Rosji było morze ciemnoty i nad nim — tryumfujący pop. To powinno dać do myślenia.

SPOWIEDŹ KSIĘDZA

Było to przed kilku laty, w epoce, kiedy ogłosiłem cykl artykułów pod tytułem *Wielkopostne Rozmyślania*⁷. Pewnego dnia zjawił się u mnie mężczyzna w średnim wieku, raczej młody. Spytał z pewnym zakłopotaniem, czy byłbym skłonny przyjąć księdza, który pragnąłby ze mną pomówić. Zdziwiony nieco zgodziłem się. O umówionej godzinie zjawił się ten sam mężczyzna — w sutannie.

Wprowadziłem go do gabinetu. Był tak wzruszony i podniecony, że długo nie mógł mówić. „Czytałem pańskie artykuły — rzekł wreszcie — i przychodzę panu powiedzieć *jak jest naprawdę*. Dla mnie to już obojętne, ja już z niczego nie skorzystam, ale może się to kiedy komu na co przyda. Przychodzę do pana... tak jak się przychodzi do rzetelnego reagenta, aby złożyć swój testament”.

Słuchałem w milczeniu, jak najmniej przerywając. Mówił gorączkowo, bezładnie, nie przestając palić jednego papierosa po drugim.

„Czytujemy pańskie artykuły. U tych księży, których znam, działalność pańska budzi szacunek. Pan jest jedyny, który ma odwagę poruszać pewne sprawy. I nieraz czytając to, co pan pisze o nas, rozkładaliśmy z moim kolegą, księdzem, ręce z podziwu: Skąd u tego człowieka — mówiliśmy — ta intuicja? Jakby patrzył, jakby wiedział!

Czuję potrzebę pomówienia z panem, powiedzenia panu wszystkiego. Ja już jestem poza życiem; choćby się co i zmieniło, ja już z tego nie skorzystam. Ani nie rzucę tej sukni, ani... przepadło. Ale chciałbym się przyczynić... do uzdrowienia...

Pan pisał o celibacie. Nie miał pan racji. Tu nie chodzi o celibat, tego się nie zmienia, ani kościół tu nie ustąpi. Tu są dwie różne kwestie: tragedia jednostki i szkoda społeczna...

⁷ogłosiłem cykl artykułów pod tytułem „Wielkopostne Rozmyślania” — W zbiorze *Marzenie i pysk*. [przypis autorski]

Ten biskup, którego pan cytował, mówi: »Dajcie nam lepszy materiał«. Tu nie materiał winien, tylko system; przy tym systemie, najlepszy materiał zepsują.

Wstępuje się do seminarium — często bardzo młodo — najczęściej pod wpływem matki. To ambicja matek: syn księdzem. Rzucić seminarium... to się nie zdarza. Być wydalonym — to cała tragedia. Odstąpić od święceń, to też się prawie nie zdarza. Zresztą taki chłopak, pod uciskiem atmosfery, nie zdaje sobie sprawy sam z siebie. Zabiedzony, niedojedzony, anemiczny... Sądzę, że w seminarium przeważnie zachowują czystość — może trochę onanii... Co innego mają w głowie. Kwestia poczyna się dopiero później, skoro chłopak jako wikary odkarmi się, rozkwitnie... Zaczyna się formowanie charakteru. Stosunek do świata — kobiety... Celibat! Et, sama mechaniczna sprawa nie przedstawia zbyt trudności. Korzystanie w tym celu ze spowiedzi zdarza się rzadko; to bardzo niebezpieczne. Zresztą rzadko zachodzi potrzeba namowy, raczej taki młody księżyk oblegany jest pod wszystkimi pozorami przez kobiety — pracują z wikarym w komitetach dobroczynnych, różne preteksty, ciągle interesy, inicjatywę najczęściej biorą one na siebie. Związki stalsze dla wikarego są niemożliwe. Proboszcz — owszem; gospodynie, kuzynki... Ale tragedia celibatu jest w czym innym. Ciężar samotności. Ta samotność, to łamie. Nic nie załatwi porządnie, nic nie sprawi, książki nie kupi, mebla; wciąż pytanie: komu ja to zostawię? Ale największa tragedia, to kiedy się zakocha. Znałem takiego, który posiwał z męki; tarzał się wręcz po ziemi. I nie może się nawet zdradzić. Jeden opowiadał mi, że dziewczyna, którą kochał tajemnie, przyszła do niego z chłopcem dać na zapowiedzi. Co się w nim działo! Pod różnymi pozorami utrudniał, odwlekał, i ostatecznie zapowiedzi nie przyjął...

Tak... Samotność. To łamie. I ta niemożność porozumienia się, szczerego słowa. Kiedy księża mówią ze sobą we dwóch, mówią tak jak ja z panem; ale kiedy jest ich trzech, żaden nie powie już nic, wówczas bierze przewagę organizacja. Ach, jaka organizacja! Nikt nie może mieć o tym pojęcia. Gdyby to nawet nie była religia, ale świecka instytucja, taka organizacja byłaby potęgą!"

Zamilkł i tylko ćmił jednego papierosa po drugim. Aby coś powiedzieć, spytałem, czy nie utrudnia roli księdza to, że musi targować się o taksy, że musi być jakby handlarzem. — „Nie (odrzekł), to nie ma zbyt wielkiego znaczenia; jeżeli ksiądz jest taktowny, da z tym sobie radę. Na przykład — to było za czasów marki polskiej — przyszedł chłopak z dziewczyną dać na zapowiedzi. Ksiądz zażądał za ślub 70 000 marek. Chłopak aż się zgiął, tak go przeraziła ta suma. »Co tobie, za dużo? Spójrz na swoją dziewczynę, toć ona nie 70 000, ale 700 000 tysięcy warta«. Tak to chłopcu trafiło do przekonania, że dał nie targując się. Tak, jeśli ksiądz jest taktowny, da sobie radę..."

Znów umilkł. Po chwili zaczął jakby do siebie:

„... Gdyby nie pozwalać chłopcom wstępować tak młodo! Każdy biskup zabiega o *male seminarium*; biorą chłopców trzynastoletnich, potem już bardzo trudno zmienić; przy tym w tej atmosferze rośnie, nie widzi nic poza nią. Dopiero później, jako wikary, pojmuje, co zrobił..."

... Bywa, że mu zbrzydzie sutanna, że mu to się wydaje śmieszne czuć się mężczyzną, a być babą; wstydzi się swojej sukni. Albo czuje szaloną potrzebę wyładowania energii, sił... Są tacy, którzy się akomodują, jedzą, piją, grają w karty, rano idzie spać o szóstej, mszę, zamiast o ósmej, odprawi o jedenastej... Ot, niech pan patrzy, co do mnie pisze mój kolega, ksiądz: »Jeden z nas myśli o złotych, drugi o świni, inny o krowie... a inny czeka, aż przyjdzie komunizm i zmiecie to świ...«

Praca społeczna? Zdarza się. I co jest charakterystyczne: zwykle ci księża, którzy pracują społecznie, którzy mają zaufanie chłopów, to są właśnie ci, którzy są dość swobodni pod względem obyczajowym, pełni ludzie. Jeśli wieś księdza lubi, to mu to przebacza".

Znów chwila milczenia.

„...Tak, proszę pana, ksiądz odprawia mszę, wykonywa gesty, zawsze te same, ale kto tam wie, co się w nim dzieje... Ludzie się modlą... Panie Boy, czy to nie jest okropne, że często właśnie ten, który jest przy ołtarzu, nie modli się, ale przeklina..."

Ofiary systemu! Panie, na zniesienie celibatu kościół nigdy się nie zgodzi i kto wie, czy to byłoby lepiej. Jeden jest tylko postulat: to aby ten, który straci powołanie, mógł wystąpić".

— Alboż nie może? — spytałem.

— Faktycznie nie. We Włoszech np. konkordat nie pozwala mu zająć żadnego stanowiska. U nas nie wiadomo, jak jest właściwie, bo nasz konkordat ma tajne punkty. Ale trudności wszędzie są ogromne, wszędzie jest napiętnowany człowiek, który właściwie spełnił czyn szlachetny, bo nie chciał kłamać, grać komedii, bo porzucił pewny i wygodny byt, aby podjąć walkę z życiem. Panie, wyrzec się sutanny, to duża rezygnacja: do księdza wszystko się uśmiecha, wszędzie sadzają go na pierwszym miejscu, jest figurą; a tak staje się zwykłym, szarym człowiekiem...

„A jeśli się żeni, to podejmuje ciężar kobiety, i to jednej, zamiast korzystać sobie ze swego haremu. A piętno księdza, który rzucił sutannę, jest okropne; trudności, jakie spotyka w życiu, są prawie nie do zwyciężenia... Trzeba by, aby się to zmieniło. Pierwsza trudność, to wojsko: biorą go zaraz, starszego, razem z młodymi chłopcami. Czyż nie lepiej byłoby, aby, tak jak jest we Francji, odslugiwał wojsko za młodu? Wówczas miałby to za sobą. Alboż nie trzeba, aby kapelan znał służbę? A jeśli chodzi o to, aby nie walczył z bronią w ręku, czyż nie trzeba sanitariuszy?

A inne trudności! U nas nie istnieje dyskrekcja urzędowa; wiadomość, że taki człowiek jest byłym księdzem, pójdzie za nim wszędzie, zewsząd go wyświecą... Znam takie przykłady. Tak, panie, społeczeństwo dużo traci na tym; bo ci, którzy zdecydowali się rzucić sutannę, to są właśnie ci najtężsi, którzy daliby sobie radę w życiu i mogliby coś zrobić... Nie masy, ale jednostki robią coś w społeczeństwie... ”

Długo jeszcze ksiądz mówił; wyrzucał z siebie jakby dławiony od lat nadmiar myśli, uczuć, niewiele troszcząc się o mnie, paląc przy tym zawzięcie. Żegnając się po kilku godzinach, jeszcze raz dodał niemal uroczyście:

— Mam uczucie, jakbym złożył testament w ręce rejenta.

Na pożegnanie pytam go, czy nie mógłbym mu ofiarować jakiejś książki? Ot, na pamiątkę naszej rozmowy...

— Och, nie, ja pana książki mam sposobność czytać, a książek w ogóle nie gromadzę. Komu bym zostawił?

Pożegnał się i wyszedł, zostawiając mnie pod silnym wrażeniem tej wizyty, którą zanotowałem sobie tuż po naszym rozstaniu. Nie dodałem od siebie ani słowa, wierny charakterowi *rejenta*, w jakim przyjąłem ten testament.

WERNYHORA⁸

W chwili gdy rozlega się powszechny lament na brak czytelnictwa, na upadek zainteresowań intelektualnych, wizyta, którą miałem przed kilku dniami, jest tak uderzająca, że muszę ją opowiedzieć choć w paru słowach. Tym, którym wydałaby się zmyśleniem, powiem od razu, że nie umiem zmyślać, zawsze mówię wszystko, tak jak było. Gdybym umiał zmyślać, pisałbym powieści i brałbym nagrody literackie.

Otóż pewnego dnia, podczas gdy siedzę przy swojej maszynie, oznajmniają mi dziwną wizytę: przyszedł stary dziad, żebrak i chce się ze mną widzieć, jak mówi, „względem płodności”. Wychodzę do przedpokoju i widzę w istocie typowego dziada starej daty, z długą, siwiutką brodą, z kosturem; wyciąga do mnie rękę i mówi:

— Proszę pana, ja wyczytałem, co pan tutaj robi, wiem, że na pana pomstują, przyszedłem, żeby panu dodać ducha, aby panu pobłogosławić. Względem poradni. Święta robota. Żeby nie było na świecie tylu nędzarzy, męczenników.

Zaintrygowany, proszę dziadka do pokoju; po chwili wydaje mi się tak interesujący, że zatrzymuję go.

— Może się pan napije herbaty?

— Owszem, proszę — odpowiada tonem najzupełniej światowym.

Stawiam przed nim herbatę, chleb, masło, kotlet z obiadu, sprząając zarazem książki, którymi stół jest zawalony.

— Proszę pana, to już znak, że bardzo jestem głodny, kiedy najpierw chwytam za jedzenie a nie za książkę. Bo u mnie zawsze pierwsza jest książka.

— Ale kto pan właściwie jest?

⁸ *Wernyhora* — Zarówno ten jak i poprzedni [*Spowiedź księdza*; red. WL] opis są ściśle autentyczne. [przypis autorski]

— Dziad jestem i nie wstydę się tego. Dziaduję w Białostockiem. Przyjechałem tu na Dzień Zaduszny, żebrać na Bródnie. Czemu nie na Powązkach? Bo tam nie wpuszczają do środka, trzeba stać pod bramą, a to mi nie odpowiada.

Coraz bardziej zdziwiony, ciągnę dziadka za język. Nie bardzo nawet tego potrzeba, bo i sam gada chętnie. Zatem, jak rzekł wyżej, dziaduje od wsi do wsi. Nie dziaduje pod kościołem, bo tam są sami pijacy, a on tego towarzystwa nie znosi; ale chodzi po wsiach, żebrze, a w zamian za to poucza chłopów o tym i owym. Za wyżebrane pieniądze przede wszystkim kupuje książki i gazety (czytuje pięć gazet), co mu omal nie zwichnęło kariery, bo kiedy się zgłosił raz do sołtysa o pozwolenie na żebranie, sołtys odmówił właśnie dlatego, że czytuje książki i gazety: niby że dziad nie powinien czytać, bo co to za dziad? Ale stary nie dał się: — Jak to! odpalił sołtysowi: to żebrak może pić wódkę i palić papierosy, a nie wolno mu czytać?

Czym był przedtem? Był dwadzieścia lat roznosicielem gazet (stąd widać ta ogłada literacka); obecnie od kilkunastu lat żebrze. Życie kosztuje go dwadzieścia pięć złotych miesięcznie, resztę *lektura*. Każdy (powiada) musi mieć ideę, bez idei życie byłoby monotonne; jeden musi być *nemrod*, inny *chorograf*, inny znów *egoista*, on ma lekturę.

Co czyta? Najchętniej naukowe. Chciał sobie kupić w Warszawie „Bigelisiena” (tak go wymawia) *Rozwój gospodarczy*, ale za drogie. Powieści nie bardzo lubi.

— Czytałem — powiada — tych *Chłopów* Reymonta, ledwie dwa tomy mogłem uczytać. Ja nie wiem, za co jemu dali nagrodę Nobla; to są banialuki, on nie zna chłopów ani ich życia, tylko ich ośmiesza. *Trylogia* Sienkiewicza jest dobrze napisana. Ale z tym czytaniem bieda; jak mają ludzie prości czytać książki — mówi — kiedy nasze książki są tak zaśmiecone obcymi wyrazami, że nikt tego nie zrozumie.

Jak oświeca chłopów? Najbardziej względem higieny, jak dziecko żywić i żeby kołysek nie używali. Uważa, że przy zawieraniu małżeństw ksiądz powinien wręczać nowożeńcom karteczki, które by ich pouczały o higienie, oświacie i przestrzegały przed nadmiernym płodzeniem dzieci.

Ma swoje pojęcia o żebractwie. Każdy żebrak powinien mieć numerek; kiedy gość, dając jałmużnę, poczuje od żebraka wódkę albo tytoń, powinien mu zabrać numerek, bo żebrak nie powinien pić ani palić.

Pytam go, skąd wiedział mój adres. Poszedł do „Zielonego Sztandaru”, który czytuje, i dowiedział się.

Oznajmia mi jeszcze, że ma 74 lata i jest zdrow jak rydz. (Zdaje się, że ten kostur, którym się podpira, to raczej dekoracyjny atrybut dziadostwa). Pokazuje buty. — Kupiłem sobie w Warszawie buty za czterdzieści złotych; no, ale to nie z dziadówki, córkę mam w Ameryce — rzekł stary, lypiąc szelmowsko okiem, niczym pan Zagłoba...

Wszystko to opowiada, popijając schludnie herbatę i gwarząc z zupełną swobodą, skrępowany jedynie trochę przytępionym słuchem. Pokrzepił się, wziął książkę, którą mu dałem na drogę, pobłogosławił mnie w przedpokoju jeszcze raz i znikł za drzwiami, zostawiając mnie rozbawionego i zdumionego zarazem. Żałowałem potem, że zapomniałem się go spytać o nazwisko i o adres, ale przez cały czas wizyty miałem wrażenie czegoś niezupełnie realnego. Wernyhora!

LEKARZE ZAKOPIAŃSCY

W chwili, gdy oddawałem pod prasę artykuł pt. *Niebezpieczna fikcja*, otrzymałem cenny dowód słuszności tezy, którą w nim postawiłem. Mówiłem o fikcji, którą stwarza znakomita organizacja opinii fałszowanej, urabianej, narzucanej, wyludzanej, przy pełnym prawie braku organów dla opinii prawdziwej i niezależnej, nie mówiąc o innych przeszkodach w wypowiedzaniu się takiej opinii.

Otrzymałem tedy rodzaj adresu podpisanego przez czterdziestu lekarzy zakopiańskich⁹. Pomijam to, co w tym piśmie było dla mnie aż nazbyt pochlebnego i zaszczytnego. Chodzi o rzecz. Otóż rzecz jest taka: czterdziestu lekarzy zakopiańskich deklaruje swoją pełną solidarność ze sprawą regulacji urodzeń i poradni *Świadomego Macierzyństwa*,

⁹rodzaj adresu podpisanego przez czterdziestu lekarzy zakopiańskich — Patrz na końcu *Dokumenty*. [przypis autorski]

ze sprawą postępowych zmian nowego kodeksu karnego, wreszcie z projektem nowej ustawy małżeńskiej.

Czterdziestu lekarzy, a jest ich wszystkich w Zakopanem czterdziestu kilku; rzadka jest taka jednomyślność, a jeszcze rzadsza taka samorzutność w ujawnieniu jej. I jaki przekrój: lekarze zakopiańscy to ludzie z najrozmaitszych stron Polski, ludzie poza tym z pewnością rozmaitych obozów i przekonań. Trudno tu już mówić — jak jest zwyczaj — o masonach, o Żydach, o klice. Tym może różnią się lekarze zakopiańscy od innych, że są bardziej niezależni, mniej podlegający ciśnieniu, które dławi jednostki w mniejszych zwłaszcza środowiskach, nawykli bezpośrednio patrzeć na życie i na jego powikłania. No, i nawykli oddychać zdrowym górskim powietrzem.

A równocześnie odbył się w Zakopanem wiec: w sprawie nowej ustawy małżeńskiej. Mam o nim relacje od naocznego świadka. Pod egidą miejscowego proboszcza wytrzeszono na nim zwykłą porcję fałszów o komisji kodyfikacyjnej (o której wszak na wiecu w Warszawie pewien poseł do sejmu informował zebranych, że składa się ogółem z siedmiu członków, w tym pięciu Żydów a dwóch Polaków, „ale głupich i do tego masonów”) i o nowej ustawie małżeńskiej. W rezultacie głosami obalamuconych bab góralskich wyrażono „jednomyślnie” oburzenie „bolszewickiemu” projektowi komisji.

Takie wiece odbywają się obecnie w całym kraju. Fabrykowane wedle tego samego wzoru, roztrzęsane następnie w całej prasie. Jako wyraz „opinii”. Otóż gdyby nie prywatny niejako głos lekarzy zakopiańskich, któż znalazłby prawdziwe poglądy tak ważnego odłamu społeczeństwa w kwestii tej i innych pokrewnych? Możemy przypuszczać, że takich ośrodków opinii znalazłoby się w całym kraju bardzo wiele, ale nie ujawniają się, nie wiedzą może wręcz same o sobie. Któryś z moich korespondentów, podkreślając potrzebę organizowania się ludzi podobnie myślących, skarżył się na to odosobnienie. „Kto wie — pisał — może w tramwaju siedzi koło mnie ktoś, kto myśli tak samo jak ja, a ja o nim nie wiem, ani on o mnie”.

Bo na dowód, jak utrudnione jest porozumienie się i wypowiedzenie, dam jeszcze przykład. Fakt, którego udzielił mi jeden z lekarzy prowincjonalnych. Lekarz ten przesłał — właśnie w sprawach, o których mówi pismo zakopiańskich lekarzy — do organu społeczno-lekarskiego artykuł pt. *Czemu milczymy?*. Odmówiono mu wydrukowania. O sprawach społeczno-lekarskich, w gazecie... *społeczno-lekarskiej!!!*... Gdyby ów lekarz wyrażał przeciwne poglądy, miałby do swojej dyspozycji kilka tuzinów wszelakich gazet i gazetek w całym kraju. Niech to będzie zarazem objaśnieniem, czemu niektóre sprawy, które, zdawałoby się, należą gdzie indziej, trzeba poruszać w... „Wiadomościach Literackich”.

Pismo lekarzy zakopiańskich wydaje mi się tedy znamienym sygnałem ostrzegawczym. Świadczy ono, że nie tylko nie znamy opinii ogółu w najważniejszych sprawach społecznych, ale — tak jak rzeczy stoją — nie mamy prawie możliwości jej poznać.

SZTUKI NIEGRANE

Z zawodu mego miewam sposobność czytać sporo sztuk w rękopisie. I uczyniłem jedną obserwację. Mianowicie o ile chodzi o *materiał życiowy* bywa on obfitszy i ciekawszy w pewnych sztukach, można powiedzieć, *amatorskich* niż w wielu tych, które widzujemy na scenie. Zawodowy dramaturg rychło nabywa dość specjalnego stosunku do sceny. On chce *napisać sztukę*, o ile można, co rok i koniecznie „na powodzenie”. Szuka tedy tematu, nie temat jego; czegoś, co by się spodobało publiczności i dało role paru ulubionym aktorom. Układa mniej lub więcej zręcznie swoją szaradę; gdy się uda, zgarnia oklaski i — gotuje się do nowej kampanii. Z rzeczywistością naszą, z jej zagadnieniami niewiele ten typ sztuk ma wspólnego. I może wydać się uderzające, że w momencie, gdy na całym świecie życie tak zajmująco szuka sobie nowych form, teatr nasz mało stosunkowo bierze udziału w tych sprawach.

Inna rzecz w sztukach niezawodowców, które często... pozostają w tece autora. Te, najczęściej będąc owocem własnych przeżyć i bolączek, uderzają zwykle tym, że materiał życiowy góruje w nich nad zdolnością nadania mu kształtu. Jedną z bardziej „rewolucyjnych” pod względem obyczajowym sztuk, z jakimi się spotkałem, był utwór napisany

przez starego lekarza; zdawałem z niego sprawę w felietonie pt. *Jadwiga*¹⁰. Obecnie mam w rękach sztukę autora, który pokosztował zawodu nauczycielskiego. Nie wiedząc, czy będzie kiedy grana, pozwolę sobie tedy ją tutaj sygnalizować, ponieważ tło jej musi być dla nas szczególnie interesujące, a treść jest bardzo znamienita.

Bohaterem sztuki jest młody nauczyciel gimnazjalny, przyrodnik pełen zapału, wiedzy i talentu. Entuzjasta nauki, wierzący w świetlaną jej rolę w losach przyszłej ludzkości, wszystkie siły oddaje pracy pedagogicznej, na lekcjach i poza lekcjami. Umie obudzić w uczniach ciekawość do nauki, zachęcić ich do czytania, opracowywania referatów. Przeźrocza, epidiaskopy, astrokamery, spektrografy, dzieła Henselinga, Newkomba... Jest z zawodu fizykiem, ale na tych pozaszkolnych pogadankach zachodzi czasem na podwórko profesora geologii. Umie zdumionym chłopcom pokazać, że geologia to nie martwe „obkuwanie” o skałach i minerałach, ale cudowna powieść o świecie; mówi im o trzeciorzędzie, o epoce lodowej, o *homo neanderthalensis*, *pithecanthropus*... Słuchają tego jak czarodziejskiej bajki, garną się do nauki, proszą wciąż o nowe książki.

I tu zaczyna się dramat. Bo to wszystko nie bardzo jest w smak władzom szkolnym, a właściwie bardzo nie w smak księdzu prefektowi, który w zdobyczach geologii i w ogóle nauk przyrodniczych widzi zamach na kosmologię *Starego Testamentu*. Denuncjacja, która kwitnie w tej szkole, odkryła u jednego z uczniów książkę *O pochodzeniu człowieka* Boelschego; ba, nawet samego Darwina! Ten uczeń to perła szkoły, chłopiec o wybitnych zdolnościach i fanatycznym umiłowaniu nauk przyrodniczych, natura bujna i szlachetna. Niestety, ciąży na nim i inne zarzuty; widziano go w parku z uczennicą szóstej klasy, kuzynką młodego profesora fizyki. Innego dnia widziano go wieczorem, jak wychodził z domu profesora, gdzie mieszka ta właśnie kuzynka. Aż nadto, aby podejrzewać grube niemoralności...

Coś w tym jest! W istocie, między młodymi zakwitła piękna i pierwsza miłość. Profesor, który nie uważa, aby zadaniem pedagogii była ślepotą na wszystko, co jest życiem, rolę zaś wychowawcy aby było odstręczać zaufanie młodzieży tępą surowością i czczymi moralami, widział tę miłość i wołał ją powodować, wołał ją pchnąć na najszlachetniejsze tory, niż ściągając ją represjami do rzędu pokątnych miłostek. Oddziałal najdotadniej na swą młodą kuzynkę, zrozumiałszy niebezpieczny wiek, jaki przechodzi; zagrał na duszy młodego chłopca, odwołując się do tego, co w nim najlepsze. Aby przeciąć tajemne schadzki, pozwolił młodym widywać się u niego w domu, pod okiem żony. I w ogóle uważa, że ślepa polityka zakazów, nieliczenie się z siłami młodości, marnuje te siły i paczy; że lepiej dać wyjaśnienia młodym na dręczące ich pytania, bo inaczej poszukają sami sobie odpowiedzi; że lepiej pokierować tym, co jest w naturze, niż żywić złudzenia, że się odwróci jej bieg.

Ale sprawa wybucha: wniesiona przez prefekta, dostaje się na konferencję nauczycielską. Nieszczególnie przedstawia się to „ciało”. Dyrektor, oportunistą i człowiekiem dość lichy; dwie nauczycielki, zajadle kumoszki; kilku nauczycieli, bądź obojętnych, bądź ciasných. Jednego tylko w tym gronie znalazł młody profesor stronnika, pedagoga starszej daty, ale zdolnego zrozumieć jego usiłowania. Ten powiada mu wręcz:

„Panie kolego, szczerze mówiąc, jestem tego samego zdania co wy. Nasze dotychczasowe metody wychowawcze są psą warte. Tworzymy regulaminy i ustawy szkolne. Młodzież staramy się możliwie najsilniej spętać powrozami naszych mądrych zakazów i osiągamy przez to li tylko ugruntowanie najpodlejszej z wszystkich zasad: czyn, co ci się żywnie podoba, ale nie daj się złapać; oszukuj, blaguj... Najlepszy to sposób wychowania kłamców, hipokrytów”...

Ale przeciwko tym dwóm stoi murem całe ciało nauczycielskie. Duszą akcji jest prefekt. Ten nie chce nic rozumieć ani paktować z tym, co uważa za złe. Dla niego proces jest krótki: uczeń, który czyta Darwina, to wyrzutek społeczeństwa; chłopiec, który ośmielił się pokochać, to zakala klasy. Uświadomienie młodzieży to pornografia. Rygor to jedyny środek w takich sprawach. Chłopak musi być wypędzony z gimnazjum, to rzecz postanowiona; młodemu zaś profesorowi stawia prefekt takie ultimatum: albo wniesie prośbę o przeniesienie, albo grozi mu dyscyplinarka. Dwie najwartościowsze jednostki będą tedy ze szkoły usunięte. I tak się też dzieje, ale w sposób niezupełnie przewidziany przez

¹⁰w felietonie pt. „*Jadwiga*” — W zbiorze pt. *Słowa cienkie i grube*. [przypis autorski]

władze; gdy w kancelarii nauczycielskie grono czeka na chłopca, aby mu ogłosić wyrok, w przyległym pokoju rozlega się strzał; to biedny chłopak wpakował sobie kulę w serce. „Odzyskał na chwilę przytomność (powiada stary nauczyciel, wyszedłszy z sąsiedniego pokoju); gdy zobaczył prefekta, odwrócił głowę i... potem skonał”. A ksiądz prefekt wychodzi za chwilę również z gabinetu, zasłaniając twarz rękami i szepce: „Boże, przebac nam!”

Treść oparta jest — jak mnie zapewniał autor — na rzeczywistych stosunkach szkolnych w byłym zaborze pruskim. Wyznaję, że czytałem tę sztukę ze zdumieniem, z przerażeniem. Jeżeli to, co przedstawia, jest prawdą, w takim razie dzisiejsza szkoła polska byłaby straszliwym cofnięciem się wstecz nawet w porównaniu z ową szkołą galicyjską, do której ja chodziłem przed wielu, wielu laty w klerykalnym Krakowie, w bardzo katolickiej Austrii. Czytywaliśmy tam Darwina po trosze wszyscy; siostra jedyne z uczniów dostała nawet w upominku od swego ojca — zagorzałego *pozytywisty* — dzieła Darwina z taką dedykacją: „Najukochańszemu ze ssaków”. Katecheta gimnazjalny bronił się, jak umiał, przed żwawo nacierającymi nań w dysputach chłopakami; ale o tym, aby miał ograniczać swobodę wykładu nauk przyrodniczych i w ogóle o jakiejś kurateli duchowej nad świeckimi naukami po prostu nie mogło być mowy.

Byłoby pożądane, aby felieton ten wywołał echa i autentyczne relacje dotyczące obecnych stosunków. Dyskrecja zapewniona. Oglądaliśmy niedawno w sztuce *Młody las* szkołę polską z epoki niewoli; o ileż bardziej jeszcze musi nas zaciekawiać, jak się rozwija „młody las” w dzisiejszej Polsce.

A druga strona sztuki, jej problem erotyczny? Ach, mógłbym coś dorzucić do tego tematu. Kiedy swego czasu ogłosiłem felieton pt. *Bunt młodzieży*, otrzymałem wiele listów. Wiele wprost od uczniów, ale i od starszej młodzieży, powołującej się na niedawne przeżycia i wspomnienia. Nie pamiętam czegoś równie przygnębiającego jak wrażenie tych listów; czegoś tak smutnego, tak brutalnego. Nie podobna mi tu przytaczać tego materiału, może znajdzie się na to pora; ale jest wśród tych listów jeden, stanowiący niejako odpowiedź prefektowi ze sztuki, o której właśnie mówiłem. A że prefekt jest postacią sceniczną, fakty zaś opisane w liście wzięte wprost z życia, nie osłabia to siły ich jako argumentu, przeciwnie! Oto co pisze chłopiec, który z niejednego pieca szkolny chleb jadł i miał do czynienia, jak mówi, z „setkami kolegów”.

Byłem w zakładach wybitnie klerykalnych (tu wymienia dwa znane konwikty). Co tam za bajzel w świątobliwych murach! Proszę wierzyć, jestem szczerzy. Zacznę po kolei od X... Chłopczakowie pozbawieni kobiecego towarzystwa żyją chorobliwą wyobraźnią. Bardzo często zachodzą wypadki między wychowankami tzw. w języku tamtejszym „szczególnej przyjaźni”, czyli w języku literackim *pederastii*. Akty samogwałtu są nagminne. To samo dzieje się w Y... z tą różnicą, że pederastia jest mniej rozwinięta, gdyż wychowankowie uciekają w nocy z zakładu do Warszawy, by przehulać w różnych spelunkach z prostytutkami często kradzione pieniądze. Do jakiego zбочzenia dochodzą niektóre jednostki, może posłużyć następujący fakt: kupowali mianowicie w sklepiku szkolnym pudełka z plasteliną (oczywiście na rachunek rodziców), robili z niej imitację narządów kobiecych i dalej — wie pan co. Miłe stosunki, nie?

Potem mówi o gimnazjach świeckich:

...większość *cór Koryntu* naszego miasta utrzymuje się jedynie dzięki licznym sztubakom. Skutek jest taki, że bardzo wielu cierpi na choroby weneryczne. Nic nie pomagają oględziny lekarskie, tacy zawsze umieją się urządzać... Czasem dowiaduje się o chorobie władza szkolna. Zamiast zająć się opieką nad takim lub mu dopomóc, wstydzą go przed całym gimnazjum i ostantacyjnie wylewają z budy. A skutek tego taki, że biedny chłopak w łeb sobie strzeli.

Mam dopiero 18 lat, a już sporo wiem. Lecz jestem laik w porównaniu z innymi, lepiej uświadomionymi kolegami...

Zdaję sobie doskonale sprawę, że to są rzeczy, które w całym wychowaniu należą do najtrudniejszych i najdelikatniejszych. Czy w ogóle będą kiedy do rozwiązania bez zupełnej przebudowy ustroju czy pojęć? Ale absurdem jest — jak się czyni dotąd — traktować to zagadnienie jako niebyłe. Absurdem byłoby rzucać kamienie pod nogi tym wychowawcom, którzy mają odwagę szerzej spojrzeć na swoje zadania.

I znowu, ani wiedząc kiedy, zesłiliśmy na tematy *drastyczne*. Cóż począć, kiedy one cisną się ze wszystkich stron! W ogóle życie robi się straszliwie drastyczne. A może było takie zawsze, tylko społeczeństwo nie chciało tego widzieć?

Wiem, że sporo osób bierze mi za złe poruszanie pewnych tematów. „To nie nadaje się do dziennika”. W istocie, jedna jest tylko rubryka w dziennikach, w której mówi się o wszystkim bez osłonek: rubryka *kryminalna*. Ale może właśnie dlatego jest ona tak obfita, że w innych rubrykach bywa tyle fałszu i przemilczeń?

KU CZEMU POLSKA IDZIE...

Ewolucja, którą przechodzimy, zasługuje na to, aby ją śledzić z całą bacnością. *Okupacja* kraju, o której nieraz mówiłem, postępuje. Dzieje się to zwłaszcza dzięki osobliwej konfiguracji frontów politycznych. Jeżeli Sienkiewicz w *Potopie* porównał Rzeczpospolitą do postawy czerwonego sukna, które sobie wydzierają królewężęta, to dziś można by powiedzieć, że wszystkie bez wyjątku partie wydzierają sobie czarną połę sutanny.

W następstwie tej polityki nic dziwnego, że „stan posiadania” rośnie. I literatura coś wie o tym. Departament nauki i sztuki znajduje się w ręku osoby duchownej. Łysiny macherów z *Instytutu Literackiego* wcale dobrze imitują tonsurę. *Katolicka Agencja Prasowa* rzuca pioruny na teatr za wystawienie sztuki, w której Filip II, patron Św. Inkwizycji, potraktowany jest nie dość czule. Uprowadzając zgoła życzenia nieoficjalnej prewencyjnej cenzury duchownej, jej „ramię świeckie” nie dopuszcza do sceny bardzo moralnego utworu młodej autorki...

Słowem, obręcz się zacieśnia. Gdyby nasza okupacja ziściła swoje ideały, wszystko — absolutnie wszystko — byłoby poddane władzy kleru. Wobec tego nic dziwnego, że musi nas interesować, co prezentuje ta kandydatura na *Króla-Ducha* Polski, jakie są skarby kulturalne, które nam przynosi.

Mam w ręku dokument, który pozwala nam przyjrzeć się bliżej temu obliczu. Ukazała się mianowicie książka pt. *Co czytać?* napisana przez o. Mariana Pirożyńskiego, redemptorystę, wydana *za pozwoleniem władzy duchownej* przez księży jezuitów w Krakowie. Jest to — jak mówi podtytuł — poradnik dla czytających książki. Opaska zaś na książce nosi ten obiecujący napis: *Pierwsza i jedyna w języku polskim zdrowa ocena beletrystyki polskiej i obcej. — 1000 autorów. — 3500 dzieł.*

Pierwsza i jedyna! To wiele powiedziane. Przejrzyjmyż tę zdrową ocenę.

Wybór autorów, sporządzony wedle spisu alfabetycznego, jest dość przypadkowy. Na próżno siliłby się kto zgadnąć, czemu jeden autor jest, a czemu innego nie ma. Przypomina to katalog wypożyczalni książek w miejscu kąpielowym; z tym, że obok nazwiska autora mamy tu zwięzłą ocenę. Przytoczę parę tych ocen. Zaczynam od pisarzy obcych. Oceny przytaczam w całości; tam gdzie skracam, zaznaczam to za pomocą kropek.

GOETHE JAN WOLFGANG. Poeta niemiecki. Za młodu prowadził życie hulaszcze i rozpustne. Na kanwie tych przeżyć napisał w r. 1774 *Cierpienia młodego Wertera*, on się w niej zakochał, ona wychodzi za męża, on się nadal w niej kocha i kończy życie samobójstwem. Romans ten był w stylu epoki — rozczulanie się, płkanie, analizowanie siebie — opanował więc współczesne umysły i narobił wiele złego.

Tyle trzeba wiedzieć o Goethem w roku jubileuszowym 1932...

MERIMEE PROSPER. Autor francuski, który za temat swych utworów obrał morderstwa i w ogóle różne łotróstwa. Bohaterami jego są pijacy, bandyci i rozpustnicy. Niekiedy posuwa się aż do bluźnierstw.

MONTESQUIEU CHARLES. Filozof i literat francuski, znany z rozprawy godzącej w moralność społeczną: *Duch praw* (na Indeksie 29. XI 1751)...

MURGER HENRYK. Pisarz francuski; jego materialistyczne romanse malują w ordynarny sposób nędzę warstw ubogich, wszystkie są na Indeksie 20. VI 1864; *Cyganeria*.

MUSSET ALFRED. Poeta francuski; pod względem stylistycznym należy do najlepszych, pod względem moralnym do najgorszych. Żył rozpustnie i swe marne życie opisywał...

STENDHAL, pseudonim Henryka Beyle. Zajmował się żołnierką, administracją majątków, dyplomacją, wreszcie pisaniem niezdrowych i bezbożnych romansów...

DICKENS KAROL... posiada tę niepedagogiczną stronę, że sceny wyznań miłosnych opisuje zbyt drobiazgowo...

BALZAC HONORÉ... romanse Balzaca odznaczają się wielkim brakiem — nie ma w nich głębszej myśli...

POE EDGAR ALLAN. Pisarz amerykański. Pod względem moralnym na ogół bez zarzutu, jednak w opowieściach jego często występują nienormalne postacie, nawet upiory, i zachodzą nieprawdopodobne sytuacje, które je dyskwalifikują do użytku młodzieży.

Najwięcej miejsca poświęcił autor literaturze francuskiej, aby ją „zdyskwalifikować” niemal w całości. Ale i innych nie oszczędził. Przejdźmy do nazwisk współczesnych:

GIRAUDOUX JAN. Pisarz francuski o dziwacznym stylu i niezwykłych pomysłach. *Bella*, chaotyczne opowiadania (!) o szczegółach z współczesnego życia politycznego; większość (?) bez żadnej wartości, sporo przy tym pierwiastka zmysłowego.

PIRANDELLO LUIGI Jeden z pogańskich pisarzy współczesnej Hiszpanii (!), sławiących zepsucie obyczajów; *Cień Macieja Pascala*, *Pierwsza Noc*.

ROSNYJ. H., pseudonim dwóch braci Anglików (!) piszących wspólnie: Justyna i Józefa...

Zadziwiające jest, że w tym poradniku pt. *Co czytać?* nie znajdzie się prawie nic godnego polecenia. Książd Pirożyński wylicza przeważnie podejrzane ramoty wszystkich epok po to, aby je potępić. Skąd je wyszukuje! Np.:

UCHARD MARIO. Prowadził życie awanturnicze i pisał złe powieści. *Panna Blaisot* należy do lepszych, mimo to jest zła.

BACKER JÓZEFINA, tancerka współczesna prowadząca mało budujące życie: *Pamiętniki* (spisał M. Sauvage).

Ale czyż wreszcie nic się nie znajdzie godnego uznania? Szukajmy.

ABOUT EDMUND. Powieściopisarz francuski o stylu błyskotliwym, interesującym, ale bezreligijny... Wolną od niestosowności jest powiastka *Nos notariusza*.

Nareszcie! Wiemy nareszcie, co czytać; *Nos notariusza* Edmunda About. Ale skąd go wziąć?

Może co jeszcze? Jest:

ACREMENT GERMAINE (właściwe nazwisko: Mile Poulain). Dobra obserwatorka życia i dobrze się na życie zapatrująca. *Wesoła swatka*, dla dorosłych, myśl przewodnia: raczej trafić na nieodpowiedniego dla siebie męża niż zostać starą panną...

BUET KAROL. Pisarz francuski bardzo na miejscu. *Z życia wiejskiego proboszcza*.

CASTLE AGNES: *Panterzątka*, matka i córka kochają jednego i tego samego człowieka, wreszcie matka ustępuje — takie sobie.

(„Takie sobie” to ulubione określenie księdza Pirożyńskiego). Szukajmy dalej:

VIVANTI ANIE. *Marion*, dzieje nieszczęśliwej śpiewaczki; jest bez charakteru, więc schodzi na bezdroża, takie sobie; *Naja Tripudians*, rozpustne towarzystwo stara się wyzyskać niewinność i nieświadomość dwóch siostr — przyzwoita i pouczająca powieść.

TISSOT WIKTOR. Pisarz francuski, autor powieści przyrodniczych, nader przyzwoitych...

Interesujące są nawiasy wskazujące, którzy autorowie są na papieskim indeksie ksiązek zakazanych; np. cały Dumas, cały Maeterlinck...

Ale przejdźmy do części, która jeszcze bliżej nas interesuje, do autorów polskich.

Ta sama przypadkowość epok, nazwisk. Ani słowa o naszych wielkich poetach romantycznych; widocznie temat zbyt drażliwy; za to pochwalony bez zastrzeżeń Henryk Rzewuski, „przywiązany do wiary i ojczyzny”, i Kaczkowski, który „poruszał doniosłe zagadnienia i rozwiązywał je w myśl wskazań etyki i patriotyzmu”. Ale zbierzmy znów garść tych zdrowych ocen na wyrwyki:

BERENT WACŁAW. Mimo wielu sympatycznych stron w twórczości Berenta, należy go uznać za pisarza niezdrowego, już to wskutek często się trafiających scen nieodpowiednich, już to wskutek niechęci do nauki Kościoła, czemu dał niezbity dowód, tłumacząc na język polski kilka tomów dzieł Nietzschego...

ŻEROMSKI STEFAN. Utalentowany pisarz, mistrz słowa polskiego, entuzjasta pragnący odegrać rolę nauczyciela narodu — rolę, do której nie dorósł... *Dzieje grzechu*... ohyda. *Wierna rzeka*, powieść z roku 1863, w której ranny powstaniec bałamuci dziewczynę — to jest wszystka treść... *Przedwiosnie*, ohydny paszkwil na Polskę i na inteligencję wiejską, stronicze i niezgodne z rzeczywistością apoteozowanie warstwy robotniczej i Żydów. Poza tym wybujały erotyzm i wywrotowa ideologia...

Zofia Nałkowska potraktowana wcale pobłaźliwie:

...umie podpatrzeć życie i obserwacje swoje z talentem przelać na papier, ale zbyt dużo miejsca poświęca ciemnym charakterom, zamykając oczy na jasne strony życia...

Ale, niestety, taż sama Zofia Nałkowska figuruje drugi raz w tym poradniku jako Zofia Małkowska i tu już wygarnięto jej bez ceremonii:

MAŁKOWSKA ZOFIA: *Romans Teresy Hennert*, bezwartościowa powieść, przetykana niestosownymi obrazkami.

Dalej:

LANGIE ANTONI... wielbiciel „pięknego słowa”, sztuki dla sztuki; wszędzie i zawsze czegoś szuka, Chrystus mu nie wystarcza. *Róża polna*, niesmaczne nowele o naiwnej pannie, o pieniądzach itp.

To: itp. — i tym podobne — jest wzruszające! Co może być „podobne” do naiwnej panny i do pieniędzy?

WINAWER BRUNO. Pisarz satyryczny i zarazem popularyzator fizyki oraz zdobyczy technicznych. Pod względem moralnym — obojętny, najwyżej można mieć żal do niego, że gloryfikując rozum ludzki, nie wskazuje na jego Stwórcę.

GLINKA KSAWERY. *Spotkanie*, ordynarna powieść przesiąknięta cyniczną rozpustą — bohater uwodzi i uwodzi bez końca.

PARANDOWSKI JAN. Opowiadania rzekomo mitologiczne, a naprawdę pornograficzne; autor namawia czytelników, by „bezwstydowi postawili kapliczkę”...

BRZEŹCZKOWSKI JERZY. *Ludzie legendy*, pornografia znad Morza Czarnego...

ZDZIECHOWSKI KAZIMIERZ. *Zbrodnia*, młody człowiek morduje, potem żałuje, całość niezdrowa.

Czyż znowu nikt nie znajdzie łaski w oczach ojca Pirożyńskiego? Owszem, jest paru tak szczęśliwych. Przede wszystkim p. Artur Górski, któremu poświęcony jest cały dytyramb; następnie p. Stanisław Szpotański, którego — z wyjątkiem jednej — wszystkie powieści można zalecić; no i zebrałaby się niewielka garstka tych, którzy przeszli przez ucho igielne:

GAWALEWICZ MARIAN... o szlachetnej tendencji i wysokim poziomie moralnym...

GURANOWSKI MIECZYŚLAW. *Sirał*, przyzwoita powieść wschodnia; *Droga do raj*, sfery urzędnicze, sporo zdrowych myśli.

NIEZABITOWSKI WŁADYSŁAW... *Huragan od Wschodu*, powieść fantastyczna: rasa żółta walczy z białą; przyzwoita; *Skarb Aarona*, nieszkodliwe fantazje egzotyczne.

JAROSŁAWSKI MIECZYŚLAW... *Członkowie E. B. V.*, akcja niemiecka w Polsce i wojna z Niemcami — taka sobie...

ŻUROWSKA MARIA: *Serce nie służy*, miłość artysty do mężatki, wprawdzie mężatka poszła za daleko, ale się opamiętała.

MARKIEWICZ DUNIN K.: *Przemoc krwi* i *Dramat kukulki*, powieść detektywiczno-patriotyczna, obie dobre.

SUJKOWSKI BOLESŁAW. *Może już jutro...*, nieszkodliwa powieść patriotyczna, kreśli dzieje przyszłej wojny, która się kończy bardzo pomyślnie dla Polski.

TATARÓWNA STEFANIA... *Porachunek z szatanem*, takie sobie nowele.

TOBICZYK SAYSS KAZIMIERZ. *W śniegach*, wrażenia z wycieczek górskich — niezłe; *Hindu*, autor entuzjastycznie przedstawia buddyzm i tym psuje całą opowieść.

BADOWSKA IDALIA: *One i oni*, kobiety i mężczyźni; tendencja powieści, że kobiety nie powinny zabierać czasu mężczyznom, licho jest przeprowadzona.

Miałoby się ochotę przepisać wszystko, taki jest swoisty wdzięk w tych określeniach. Ale przejdźmy do konkluzji.

Nie mielibyśmy nic oczywiście przeciw temu, gdyby ksiądz Pirożyński zestawił spis książek, które z jego kapłańskiego punktu widzenia zasługują na zalecenie lub bodaj są dozwolone. Ale właśnie jeżeli staniemy na tym stanowisku, uderzają tu pewne rzeczy. Przede wszystkim poziom umysłowy, ujawniający się zarówno w sądach, jak w ich sformułowaniu; straszliwa ignorancja, czyniąca z tego poradnika lamus rzeczy zupełnie przypadkowych. Ksiądz Pirożyński nie zna nawet „swoich ludzi”; nie zna naszych katolickich pisarzy. Ani jeden z tych, którzy na zjazdach obcałują ręce prałatom, nie jest wymieniony. Cóż za niewdzięczność! Ani najpokorniejszy służka kościoła p. Miłaszewski, ani p. Nowaczyński, ani p. Zygmunt Wasilewski! Nie ma w tym poradniku ani śladu nazwiska K. H. Rostworowskiego...

I w ogóle, gdy chodzi o polecenie *co czytać*, ksiądz Pirożyński jest w kłopotcie. Okazuje się, że ten kapłan zna przeważnie książki — niestosowne. Zdumiewa mnie zaś wręcz czytanie księdza Pirożyńskiego w „pornografii” (daję cudzysłów, bo u księdza Pirożyńskiego pojęcie pornografii jest bardzo obszerne) wszystkich epok i krajów. Przyznam się, że nie znam ani jednej książki Pitigrillego; ksiądz Pirożyński zna bez mała wszystkie. I wlicza je — w tej książce pt. *Co czytać?* — jak z nut:

PITIGRILLI, współczesny pornograf, wyuzdanie jego nie zna żadnych granic: *Pas cnoty*, *Kokaina*, *Obraza moralności*, *Osiemnaście karatów dziewictwa*.

Ten ojciec redemptorysta zna wszystkie sprośności, bodaj najbardziej zapomniane i przedawnione:

KOCK PAWEŁ. Francuz. Mając lat 19, ogłosił *Dziecię mojej żony* i odtąd pisał bez przerwy niemoralne i ordynarne romanse. W tłumaczeniu polskim jest ich przeszło czterdzieści.

Cóż za erudycja! Czasami ten katalog przypomina owe notatki w brukowych dziennikach, które gromiąc odkryty przez policję dom schadzek, podają jego szczegółowy adres. Gdy np. napiętnowawszy ohydę Lavedana, Ojciec Pirożyński dodaje: „Na szczęście, przetłumaczono tylko *Łóżko*”.

Znam dosyć dobrze literaturę francuską, ale nie miałem pojęcia, że istniał jakiś Felicjan Champsaur. Książd Pirożyński wie nawet to, że się urodził w r. 1859, i dodaje: Jeden z najniemoralniejszych pisarzy francuskich; *Siewca miłości*.

Natomiast na próżno szukałby tu ktoś nazwiska Chateaubrianda, Claudela, Hello i tylu innych katolickich francuskich pisarzy.

I ta obfitość „pornograficznej” lektury — choćby traktowanej negatywnie — w poradniku *Co czytać?* nie jest przypadkowa. U tych ofiar celibatu *pleć* wyradza się w ów wciąż niedosycony, ciekawy, wścibski erotyzm, który niejedną uczciwą kobietę na zawsze oddalił od konfesjonau. To przebija w dziełku księdza Pirożyńskiego z całą naiwnością. Nawet lektura Dickensa działa na tego kapłana podniecająco!

Wrażenie, jakie nam zostaje ze spojrzenia zapuszczonego w tę duszę — a możemy ją uważać poniekąd za „reprezentatywną” — jest dość szczególne. Litość i zgroza. Litość dla człowieka, który ma takie widzenie świata, takie horyzonty; dla tej naiwnej płaskości i ciemnoty; ale zarazem zgroza, kiedy się pomyśli, że to jest przekrój kasty, która z całą bezwzględnością i z takim zuchwalstwem wyciąga ręce po wszystkie władze w dzisiejszej Polsce, która zwłaszcza chce wyłącznie kierować duszą młodzieży.

Poradnik księdza Pirożyńskiego to ciekawy, ale niewesoły komentarz do psychiki kleru. Tak, byłaby ta książka zabawną osobliwością, ale nie dziś i nie u nas. Niepodobna jej uważać za indywidualny wybryk. Tam nic nie dzieje się przypadkiem. Wszak książka ta przeszła cenzurę duchowną; czytać ją musiał szereg osób, wydali ją księża jezuiti. Są logiczni: toż to nie co innego, tylko nawrót do ich najlepszych tradycji w Polsce, do czasów saskich. I jeżeli rzeczy pójdą tym trybem jak obecnie, widzę w tym poradniku — *w tej pierwszej i jedynej zdrowej ocenie* — odpowiednio rozszerzonej i uzupełnionej — przyszły nasz podręcznik szkolny. Wystarczy, aby p. minister oświecenia wyjechał na urlop, a przemyci taki podręcznik książd wiceminister, stwarzając fakt dokonany. Nie książd Żongołłowicz — na to mam za dobre pojęcie o jego poczuciu humoru — ale który z jego następców. Bo sądzę, że urząd wiceministra oświecenia już pozostanie przy sutannie na stałe. Nasz kler niełatwo wypuszcza z rąk raz uzyskany stan posiadania...

Jeden z naszych pisarzy — najmiłszy sercu i duszy ojca Pirożyńskiego — napisał książkę pt. *Ku czemu Polska szła*. Ja daję tym rozważaniom tytuł: *Ku czemu Polska idzie...* Idzie szybkim krokiem.

PRZYGODY FRANCISZKA VILLONA W KRAJU OKUPOWANYM

Pewnego dnia przyszła mi nieodparta chęć, aby cała Polska święciła pięćsetlecie urodzin Villona, o którego istnieniu — w znakomitej większości — nigdy nie słyszała. „Zachce nie mężczyzny w ciąży” — powiedzą ci, którzy mnie pomawiają o wszystkie perwersje. Postanowiłem puścić się z odczytem. Lubię od czasu do czasu popatrzeć sobie w oczy z moją publicznością, od czasu zaś mego ostatniego *objazdu pasterskiego* upłynęło sześć czy siedem lat.

Dotąd *zwilonizowałem* 24 miasta. Warszawa (z recydywą); Łódź, Kielce, Katowice, Sosnowiec... (W Bielsku odmówiono mi sali). Dalej Tarnów (gdzie omal nie powtórzyłem przygody gogolowskiego rewizora, wzięty przez miejscowe władze za komisję ministerialną, jak to opisałem na innym miejscu); Krynica, Kraków — mój kochany Kraków, dla którego nie mam dość słów podziękii za serdeczne przyjęcie „marnotrawnego syna”; Zakopane, gdzie wpadłem w przyjazne objęcia „czterdziestu lekarzy”, autorów znanego adresu¹¹, wrogów etyki i społeczeństwa, agentów moskiewskich, subwencionowanych przez Berlin (jak to daje do zrozumienia krakowski „Głos Narodu”).

Jedziemy dalej. Radom, Lublin (w Przemyśle odmówiono mi sali), Stanisławów, gdzie miały być podobno wrogie demonstracje, ale skończyło się na kwiatkach i oklaskach...

¹¹„czterdziestu lekarzy”, autorów znanego adresu — Patrz Dokumenty. [przypis autorski]

Lwów. Od rana chodzą groźne wieści: odczyt ma być zerwany, ja — pobity i wyswiecony z miasta. Wieczór, sala przepelniona, komisarz policji bardzo się troska ilością dostawionych krzeseł. Pytam go, co mu to szkodzi? „Proszę pana — odpowiada dobrodusznie — krzesło normalne jest przymocowane do podłogi, ale krzesłem dostawionym można w łeb dostać”. W rezultacie — najserdeczniejsza owacja, o jakiej mogłem zamarzyć.

Białystok, Grodno, Wilno. W Wilnie odnawiam miłe znajomości, podejmowany przez świeżo powstały wpół żartobliwy — tradycje wileńskie! — *Związek Sumaryjczyków*.

Częstochowa. Młode Tow. Przyjaciół Francji inauguruje tym odczytem swoją działalność. Sala teatru okazuje się o połowę za mała, wszystkie drzwi trzeba zostawić otwarte. Po odczycie wieczera w kółku *przyjaciół Francji*, przy świeczkach — z powodu strajku elektrycznego — co wytwarza nastrój dość willonowski. Co prawda, trochę mnie to żenuje najadać się na koszt tego biedaka, który tak często w życiu nie dojadł... Pakując do ust apetyczną kanapkę, mimo woli słyszę ironiczną strofę *Wielkiego Testamentu*: „Ci mają winko i pieczone — ptaszęta, rybkę, leśne zwierzę — sosy i smaki zawiesziste — jajca, kładzione, z octem, świeże... — Nie są podobni do murarzy — którym trza służyć w wielkim trudzie; — tu się pomocnik nie nadarzy: — sami se zżują, dobrzy ludzie...”

Dotąd wszystko odbywało się pogodnie: za to teraz zbierają się groźne chmury. Następna tura miała objąć Toruń, Gdynię, Gdańsk, Grudziądz. Gdańsk odpadł; odmówiono „bezbożnikowi” sali. W Toruniu wszystko zapowiadało się jak najlepiej, atmosfera przychylnego zainteresowania. Wieczór miał się odbyć w sali teatralnej. Naraz przychodzi depesza: „Odczyt niemożliwy”. Co się stało? Po prostu pewne sfery zagroziły dyrektorowi teatru... zdemolowaniem sceny; kiedy zaś ta groźba nie poskutkowała, przydano do niej inną: zapowiedź nieodnowienia dzierżawy gmachu, która wygasa dn. 1 kwietnia, podczas gdy kontrakty z aktorami są do września. Argument bez repliki! Atak był skierowany na ostatnią chwilę, tak aby za późno już było przenieść się do innej sali. Niemniej otrzymałem z Torunia wiele wyrazów oburzenia z powodu terroru oraz zaproszeń na przyszłość.

Z Gdyni dochodzą również wieści alarmujące! Właściciel sali zrazu pod naporem agitacji cofa się, potem mimo wszystko godzi się dotrzymać umowy; jedziemy tedy do Gdyni. Kupuję na dworcu miejscowe pisma; widzę wielkimi czcionkami tytuł: *Wróg Kościoła w Gdyni*. (To ja). Autor notatki wyraża nadzieję, że „społeczeństwo gdyńskie, które już nieraz dawało dowody przynależności do Kościoła katolickiego, na pewno odpowiednio zareaguje na odczyt”... Na odczyt o Villonie, tym biednym Villonie, który dla swojej matki napisał tak śliczną modlitwę do Najświętszej Panny!...

Próba rozagitowania Gdyni, która skupia w sobie żywioły z całej Polski, spaliła na panewce; odczyt odbył się w atmosferze życzliwości i sympatii. I oto podziwiamy ekwilibrystykę: ta sama gazetka, która daremnie podburzała wszelkimi sposobami spokojnych Gdynian, pisze nazajutrz, że „Boy miał być w Gdyni wygwizdany i obrzucony jajami, ale że jedna z czołowych osobistości interweniowała wśród wzburzonej młodzieży, aby zaniechała podobnego czynu, nielicującego z godnością katolika”. Gazetka stwierdza na pociechę, że „mimo iż udział publiczności był dość liczny, były to tylko elementy napływowe, które w imprezach religijnych (?) udziału nie biorą. Na szczęście ludność kaszubska na odczyt nie poszła, czym dała dowód, że zwolennicy rozwodów nie mają u nas nic do szukania”.

Przyznaję, że nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się zapełnić sali ludnością kaszubską; w zupełności wystarczyły mi „elementy napływowe”...

Gdzieżby się zresztą odczyt o Villonie mógł odbyć bez polityki! Jakoż „Goniec Pomorski” stwierdza, że „sałę głównie wypełnili miejscowi sanatorzy”, przy czym daje dowód głębokiej przenikliwości: „pierwszy odczyt był taki, by nikogo nie zrazić. Chodzi o to, by Boy-Żeleński mógł na przyszłość głosić swoje znane teorie o wolnej miłości itd. Społeczeństwo katolickie powinno zwrócić uwagę na występy tego znanego wroga zasad religii katolickiej”...

Ale nie mam czasu badać bliżej nastrojów Gdyni, bo odczyt kończy się o kwadrans na trzecią w południe, a o wpół do trzeciej odchodzi pociąg do Grudziądza. I tam próby terroru zawiodły, mieszkańcy Grudziądza odwiedzają mnie za kulisami z wyrazami sympatii i solidarności...

Włocławek. Znów przygrywka w prasie. Szumny tytuł: *W obronie godności naszego miasta*. Czytam: „Rzecz ciekawa, kto w naszym mieście odczuwa potrzebę tej niewybrednej stawy, jakiej dostarcza biedny umysł godnego współczucia człowieka. Jedno wiadomo, że ogół zdrowo myślących obywateli naszego miasta jeszcze tak nisko nie upadł, by dla zaspokojenia swych potrzeb kulturalnych miał słuchać ludzi, których zainteresowania nie wychodzą poza wąski zakres spraw seksualnych... Jesteśmy przekonani, że obywatele włocławscy nie dadzą się sprowokować... Nie pozwolimy sobie przed oczyma roztaczać tak pojętej postępowości... Nie współdziałamy z tymi, co dokonywają moralnego rozbioru Polski”...

Stanowczo w „biegu głupoty na przelaj” tym razem dziennikarz z Włocławka zdobył *puchar wędrowny*. Poza tym odczyt odbył się bez przeszkód.

Płock. Tu jeszcze groźniej. W miejscowej gazetce, w rubryce *Nadesłane* czytam odezwę *Do katolików miasta Płocka*: „Doszło do naszej wiadomości, że Boy-Żeleński ma wygłosić w Płocku odczyt. Ze względu na całokształt działalności p. Boy-Żeleńskiego, która godzi w istotne zasady moralności chrześcijańskiej, mamy głębokie przeświadczenie, że wszyscy, którzy czują i myślą po katolicku, nie wezmą udziału w zapowiedzianym odczycie”.

Następują oficjalne podpisy i tytuły proboszczów wszystkich parafii Płocka.

Ta metoda, połączona z niesłyszana wręcz agitacją z ambony (agitacja z ambony była zresztą prawie we wszystkich miastach prowincjonalnych), okazała się skuteczniejsza od innych. Służące w Płocku powtarzały sobie ze zgrozą, że ksiądz nie da rozgrzeszenia temu, kto pójdzie na *wiecz* urządzony przez Antychrysta. (To był mój odczyt o Villonie!) W niedużym mieście, gdzie każdego widzą i każdego znają, mało kto ma ochotę dostać się na czarną listę Czarnej Ręki. Sala była słabo wypełniona, mimo że sam dziennik, który zamieścił owo *nadesłane* uczuł potrzebę odgrodzenia się od tego „protestu”, stwierdzając, że uważa go za „chybiony w zupełności” i że „nic nie stoi na przeszkodzie, aby wysłuchać odczytu o Villonie, pocie francuskim sprzed lat 500, tj. z czasów, kiedy ludzie nie roznamiętniali się jeszcze z powodu projektowanej reformy małżeńskiej”.

Powiedzcie, czy to wszystko nie są dokumenty godne utrwalenia?

Kalisz, Piotrków, Tomaszów Mazowiecki zamknęły bez przeszkód ten *objazd pasterski*, który na razie wypadło mi zakończyć, mimo zaproszeń z wielu stron Polski.

Wracając w przerwach do Warszawy, zastawałem jak zwykle, pliki korespondencji. Najwięcej listów otrzymuję z najbardziej okupowanych dzielnic; z Pomorza, z Poznańskiego, ze Śląska. Kto pisze? Najrozmaitsi: prokurator, sędzia, nauczyciel, robotnik, młodzież. Kto nie czytał takich listów, ten nie może mieć pojęcia o prawdziwym nastroju ludności w stosunku do naszych *okupantów*. Ach, jak tam ludzie zaciskają pięści, jak zgrzytają zębami, a równocześnie jak panicznie się boją! Po prostu utraty chleba, represji, zemsty. Ucisk — w małych zwłaszcza środowiskach — jest straszliwy. Tam nie można być nawet neutralnym, trzeba być karnym szeregowcem w kadrach świętoszkostwa, patrzeć bez mrugnięcia okiem na ogłupianie, łupiestwo, cynizm tyjący kosztem skrajnej nędzy, na zuchwałą brutalność czarnych wielkorządców. „Specjalnie tutaj, na Śląsku — pisze mi jeden z przygodnych korespondentów — sprawa mieszania się kleru do wszystkiego ma odrębny i niespotykany gdzie indziej charakter. Ta tłusta, czerwona łapa, wyciągnięta z czarnej sutanny, gnębi najmniejszy przejaw myśli”...

Od dziecka każdy musi być wpisany do bractwa. Najpierw — do *Stowarzyszenia Dzieciątka Jezus* wyciskającego z dzieci — jak dzisiaj — bezrobotnych przeważnie nędzarzy znaczne kwoty na *Murzynka* w Afryce. Starsi — do *Stowarzyszenia Młodzieży*. Oczywiście składki. Dziewczęta, po dziesięć, tworzą *różę*. Jedenasta już szuka towarzyszek do nowej *róży*. Każda *róża* musi przynajmniej raz do roku dać na mszę za członkinie. Prócz tego, inne związki młodzieży. Straż Honorowa, tercjarze, sztandary, kwesty, pielgrzymki, niekończące się nigdy „odnowienia kościoła”. Składki, składki. Starsi — to przeróżne *Bractwa Mężów i Żon Katolickich, Czcieli Oblicza Pana Jezusa*. Najstarsze baby — to *Arcybractwo Matek*. I znów składki, składki, aż do ostatniego tchu.

Ale największy terror połączony jest z obrzędem *kolędy*. Cóż za uroczystość, coś za aparat i w rezultacie do jakiego celu! Ksiądz obchodzi domy w asyście kościelnych, organistów, zelatorów. Drzwi domów muszą być na oścież otwarte. Na stole ma być krzyż i jarzące się świece; obok — pisma kościelne i religijne, na podłodze klęcznik lub podusz-

ka. Gdyby ktoś w tym czasie — nie daj Boże — musiał wyjechać, ma zostawić pieniądze dla księdza u gospodarza. Tymi i innymi sposobami, tam gdzie komornik nie znajduje już nic, poborcy w sutannie wyciskają jeszcze z największej biedoty miliony.

Ale nie chcę już cytować listów, jakie otrzymuję; mimo iż tchną prawdą, mogłyby się wydać podejrzone. Wolę sięgnąć do samego źródła. Oto „Szarlejskie Wiadomości Parafialne, organ Akcji Katolickiej”, z dn. 14 lutego 1932. Cóż za posępna lektura! Same „gorzkie żale” — „drogi krzyżowe dla dzieci” — „drogi krzyżowe dla dorosłych” i po każdym wierszu: płac, płac, płac! I co za sposoby wymuszenia, pod grozą mąk piekielnych, hańby doczesnej, no i — o czym się nie wspomina, ale co wszyscy dobrze wiedzą — pod grozą utraty pracy i bytu z piętnem „bezbożnika”. Każdy z parafian musi oddać kartkę odbytej spowiedzi: „bez tej kartki (czytamy w „Wiadomościach Parafialnych”) — czego Boże nie daj — pogrzeb bez krzyża, bez kapłana, bez miejsca poświęconego, pod płotem”... Ale nie tylko za brak kartki spowiedzi grożą takie rygory. To samo za uchylenie się od *kolędy* owej osławionej *kolędy*, która jest po prostu zorganizowanym szantażem. W dzień, gdy kapłan chodzi po *kolędzie* (czytamy tamże), „prosimy, żeby wszystkie rodziny zostały w domu... Tu zależy wiele na gospodarzu domu, żeby wszystkich komorników zawiadomił o *kolędzie* i na nich wpływał... Jeżeli się coś gorszącego dzieje w jakim domu, o czym duszpasterz wiedzieć powinien, ażeby według możliwości to naprawić, wtedy prosimy nam to przed *kolędą* powiedzieć w kancelarii, albo przy samej *kolędzie*... W każdym razie ogłaszamy, że w razie pogrzebu — co Pan Bóg nie da — do tej rodziny kapłan po zwłoki nie pójdzie, gdzie mu przy *kolędzie* wstępu wzbroniono”... A stawki tej *kolędy* — w stosunku do środków materialnych ludności — olbrzymie.

Płacić, płacić, płacić bez ustanku. „W środę (czytamy dalej w „Wiadomościach Parafialnych”) uroczystość Trzech Króli... W tym dniu jest kolekta na misje pogańskie... Po rannym nabożeństwie absolucja generalna dla tercjarzy... Popołudniu przyniosą zelatorzy (zelatorki) ze Stowarzyszenia Św. Dzieciństwa Pana Jezusa składkę za styczeń do kancelarii. Niech każde dziecko zdobędzie nowych członków dla naszego stowarzyszenia. Jest jeszcze wiele dzieci w Piekarach, które nie należą, a mogą należeć od urodzenia (!) aż do 16 roku przynajmniej. Dzieci, które jeszcze nie mają nowej listy składkowej, niech przyjdą po nią do kancelarii”...

„Stow. Młodzieży męskiej... Druh kasjer prosi, żeby druhowie zapłacili na składkach zaległości za stary rok i za I kwartał nowego roku”...

Dalej: „Nikt nie ma prawa siedzieć w ławce (kościelnej), jeżeli należytość za miejsce nie zapłacił; przy rewizji kościelnej taki może się narażać, że go się z ławki wyprosi”...

Bilans, jaki mi jeden z przygodnych korespondentów z sum wyciskanych tymi drogami w przybliżeniu przesyła, jest przerażający. Kontrast bogactwa kleru z nędzą jego podatników — również. A życie duchowe, umysłowe, w tej atmosferze fałszu, ucisku, ciemnoty, szpiegostwa, denuncjacji? Ci, którzy nie są doszczętnie ogłupieni, dławią się po prostu od wściekłości i nienawiści. Obawiam się, że żaden Moskal ani Prusak nie budził takiej reakcji wewnętrznego buntu jak ta *okupacja*, głębiej wdzierająca się w dusze, w życie prywatne i w kieszenie niż jakakolwiek inna. Toteż ślepotą i sobkostwem naszych okupantów są wprost groźne: od iskry, która by padła na te prochy, mógłby spłonąć cały kraj!

Tę atmosferę trzeba poznać, aby zrozumieć niepoczytalny szal, jaki ogarnął pewne sfery z powodu odczytów moich bodaj o... Villonie. Bo gdyby wnioskować z tych „Wiadomości Parafialnych” — jak i z wielu innych objawów — trzeba by dojść do przekonania, że katolicyzm w Polsce jest zaledwie w jakich 20% religią, a w 80% przemysłem, znakomicie zorganizowanym przedsięwzięciem finansowym. Aparat działa z drapieżną precyzją, ale zarazem z poczuciem, że wszystko to wspiera się na ciemnocie i na zastraszaniu i że wystarczyłoby trochę światła i powietrza, aby podciąć ten przemysł, uprawiany w mroku i zaduchu. Katolicyzm nasz jest niemal obojętny na punkcie dogmatu; — może np. Towiański, który przeczył bóstwu Chrystusa, być *in odore sanctitatis* u naszych katolickich pisarzy. Jest obojętny na wszystko, co nie ma bezpośredniego związku z takсами i opłatami (kara śmierci, sądy doraźne); natomiast wszystko, co dotyka w jakiej bądź mierze aparatu finansowego, uderza w najczulszy punkt tego „katolicyzmu”. Dlatego wydobyć na światło szalbierczy i świętokradzki przemysł „unieważnień”, oświetlić dzisiejsze

praktyki rozwodowe, oświadczyć się po stronie uczciwości i prawa, znaczy — w ich języku — „godzić w istotne zasady moralności chrześcijańskiej”. Ładne dają świadectwo tej moralności chrześcijańskiej!

Równocześnie zastaję w pliku korespondencji numer brukselskiej „Revue Catholique”, a w nim — również sprawozdanie z mojego odczytu. Jakże inna atmosfera! Pisał je Paul Cazin, który właśnie bawił we Lwowie. Odmalowawszy w sympatycznych słowach charakter odczytu, Cazin — jeden z czołowych katolickich pisarzy francuskich — kończy słowami:

„...sławny Boy, którego dowcipny i wywrotowy brak uszanowania, dziedzictwo naszego Beaumarchais, wywołuje oburzenie albo zachwyt, wznieca burze śmiechu albo zgorznień, ale zmusza wszystkich do myślenia, co jest samo w sobie olbrzymią korzyścią”.

Tak pisze „Revue Catholique”... Otóż właśnie tego myślenia, tej „olbrzymiej korzyści”, najbardziej boją się u nas duchowne sfery. Bo mogłoby ono stanąć w poprzek innym znów „olbrzymim korzyściom”...

„MORALNIE OBOJĘTNE”...

Kiedy niedawno temu ogłosiłem wyciąg ze słynnego już dziełka o. Pirożyńskiego pt. *Co czytać*, sporo osób było zdania, że przecenia się znaczenie tej publikacji. Ot, — mówiono — ekstrawagancje nieszkodliwego dziwaka, bez znaczenia. Wyznaję, że i ja sądziłem mniej więcej tak samo; a jeżeli poświęciłem o. Pirożyńskiemu tyle miejsca, to dlatego, że chciałem w tych dość ponurych czasach dostarczyć czytelnikom trochę łatwej zabawy. Przyznaję się nawet do jednej naiwności. Sądziłem mianowicie, że wystarczy ujawnienie tych bredni, aby wydawca, który przepuścił je może przez niedopatrzenie, wycofał je czym prędzej z obiegu. Byłem o tym tak przekonany, że zakupiłem kilka egzemplarzy, aby je mieć na podarki dla znajomych wówczas, gdy staną się bibliograficzną rzadkością.

Byłem naiwny. Bo oto niebawem, w najpoważniejszym naszym czasopiśmie katolickim, „Przeglądzie Powszechnym”, organie tychże samych krakowskich oo. jezuitów, którzy książeczkę o. Pirożyńskiego wydali, pojawiła się z niej recenzja. Recenzja solidaryzująca się bez zastrzeżeń z zawartością książki. Oto w skróceniu, co czytamy w lutowym zeszycie (1932) tego miesięcznika:

Dziełko o. Pirożyńskiego wypełnia dotkliwą lukę w piśmiennictwie polskim: brak katolickiej oceny całokształtu twórczości beletrystycznej. Dotychczas stosowano najrozmaitsze oceny: estetyczne, narodowe, państwowe, ekonomiczne; tylko o etycznej jakości stale zapominano. Poradnik *Co czytać?* przewyższył ten bezwład i powinien stanowić punkt wyjścia do dalszych prac w tym kierunku. Pragnąc osiągnąć możliwie najwyższy stopień obiektywizmu, autor opiera się na autorytecie Kościoła... Trzeba przyznać, że autor ma dar w kilku lapidarnych słowach scharakteryzować pisarza, uchwycić zasadniczy ton jego twórczości ze stanowiska etyki. Pomimo wyraźnej tendencji do umiaru, ocena ta nie dla wszystkich pisarzy wypadła przychylnie, ale to już nie jest wina o. Pirożyńskiego... Jeżeli w twórczości jakiegoś pisarza oprócz rzeczy złych są i dobre, autor nie omieszką zaznaczyć tego szczegółu; widać nawet, że czyni to z pewnym pośpiechem i radością; za to tam, gdzie ganić należy, wyczuwa się żal i smutek; ale trudno: *amicus Plato, sed magis amica Ecclesia*. Tak więc, akcja katolicka w Polsce zyskała w pracy o. Pirożyńskiego nieodzowną pomoc w umoralnieniu stosunków na terenie literatury, w zorientowaniu się, gdzie przyjaciel, a gdzie wróg”.

Kończy się ta ocena życzeniem, aby o. Pirożyński nie zaniedbywał swej pracy na tym polu, ale kontynuował ją i doskonalił.

Ci wszyscy zatem, którzy uważali dziełko o. Pirożyńskiego za wyskok indywidualny, mają oto autorytatywną odpowiedź: to nie jednostka mówi w tym niesłychanym *poradniku*, ale Kościół. To nie majaczenia nieuka i maniaka: — to program! Wobec tego, czym Kościół (a raczej kler, który stara się utożsamiać te pojęcia: ksiądz — Kościół — religia — Bóg) jest w Polsce, a jeszcze więcej, czym chce być, stwierdzenie to wystarczy,

aby usprawiedliwić uwagę, jaką poświęca się księdzu Pirożyńskiemu. Wszak już donosił „Dwutygodnik Literacki” z Poznania o nieoficjalnej próbie wprowadzenia dziełka *Co czytać?* do gimnazjum!

Ale nie tylko dlatego książeczka ta zasługuje na uwagę. Ma ona wielką wartość dla studiów nad psychiką naszych *okupantów*. Jest karykaturalna; ale właśnie przez to tym lepiej odbija, niby we wklęsłym zwierciadle, charakterystyczne rysy.

Ponieważ ocena „Przeglądu powszechnego” kładzie główny nacisk na etyczne kryteria zawarte w książce, pozwolę sobie przytoczyć jeszcze pewną ilość związanych, w istocie, ocen o. Pirożyńskiego z tegoż samego dziełka.

DOLIŃSKI. Niezwykły *Pomysł pana Anapesta* polega na tym, że zamierza założyć komitet opiekujący się kandydatami na samobójców; — niezdrówka książka.

EMONTS. *Duch trwogi*, uczciwa powieść, przedstawiająca walkę dwóch szczepów w Kamerunie.

FLETSCHER, autor bardzo przyzwoitych powieści detektywistycznych.

GERSTAEKER. *Zbiry*, wojny domowe w Meksyku, na początku XIV wieku, nie ma nic niestosownego.

GLYN ELEONORA. *Przygody Eweliny*, smutne przejścia sieroty, pod względem moralnym obojętne.

GOLDEN JAN. *Gdy zegar wybije jedenastą*, historia detektywistyczna, bez wartości, ale nieszkodliwa.

LANDSBERGER. *Ślepa sprawiedliwość*, powieść wymierzona przeciw karze śmierci, nieszkodliwa.

LARROUY. *Syrena i trytony*, katastrofa łodzi podwodnej, jest ustęp bardzo niestosowny.

LATZKO. *Powrót*. W kreśleniu okropności wojny jest umiarkowany i nie wprowadza pierwiastka erotycznego.

LAWRANCE T. E. Pułkownik angielski, który z polecenia swego rządu podczas ostatniej wojny tworzył w Arabii bandy dywersyjne przeciw Turkom. Przygody swoje opisał w książkach *Bunt Arabów*, *Burza nad Azją*, niezawierających niestosowności.

LEROUX, autor powieści kryminalnych, obojętnych pod względem moralnym.

LUCIETO, autor bardzo przyzwoitych powieści na tle szpiegostwa politycznego.

MACDONALD. *Zemsta detektywa*, należy do typu sympatycznych powieści kryminalnych.

MARCZEWSKI. *Pijawki* — łapownictwo rosyjskie, powieść nie zawiera nic gorszego.

MORUS. *Człowiek w cieniu*, życie Zacharoffa, kapitalisty międzynarodowego, który zarobił setki milionów na dostawie broni mocarstwom europejskim, zwłaszcza podczas wojny; pouczająca biografia.

MUNOZ. *Czarny dyktator*, walka liberałów ze zwolennikami dyktatury, naiwne, moralnie obojętne.

NORRIS. *Potęga giełdy* w Chicago, obraz spekulacji pieniężnych, moralnie obojętny.

POKER. *Kobieta w pociągu*, pod wiele obiecującym tytułem nowela nieobrażająca na ogół moralności; na pierwszy plan występuje pociąg, kobieta dopiero na dziesiąty.

SABATINI. *Sokół morski*, awanturnicze przygody w XVI w. Anglika, który przyjmuje mahometanizm, potem wraca do Anglii; z wyjątkiem zaprzania się wiary, nic niestosownego nie ma.

SALTEN. *Jerzy Erbacher*, nieszczęśliwe pożycie dwojga niedobrych małżonków, nic ciekawego...

Te oceny „moralne” księdza Pirożyńskiego są bardzo wymowne. Potwierdzają one to, na co zresztą nieraz zwracano uwagę; mianowicie, że kler potrafił zacieśnić pojęcia *moralności* po prostu do wstrzemięźliwości lub — ściślej biorąc — obłudy płciowej. Z siedmiu grzechów głównych upodobali sobie tylko jeden, a z dziesięciu przykazań bożych co najmniej siedem jest im obojętnych. Człowiek *moralny*, kobieta *cnotliwa*, tych słów używa się tylko w znaczeniu płciowym; poza tym ten człowiek może być lichwiarzem i wyzyskiwaczem, obzartuchem i leniwcem, potwarcą i kłamcą; kobieta może być piekielnicą, plotkarą i jędzą. Te same kryteria stosuje ksiądz Pirożyński do literatury. Sam anielski Dickens jest dla niego „niepedagogiczny, bo sceny wyznań miłosnych opisuje zbyt drobniawo”: wszystko inne natomiast jest *moralnie obojętne!* „Moralnie obojętne” — jak na to zwrócił już uwagę W. Rogowicz — są dla tego księdza oszukańcze spekulacje giełdowe; i udreki sieroty, i okropności wojny. Ba, kiedy mówi o najstraszliwszych zbrodniach, jak zbrojenie jednych ludów przeciw drugim, na zimno, dla celów „dywersyjnych”, obchodzi ks. Pirożyńskiego tylko to, że książka Lawrence’a „nie zawiera niestosowności”, to znaczy, że się w niej nie całują! „Nieszczęśliwe pożycie niedobrych małżonków”, to dla niego „nic ciekawego”. Łajdackie życie hieny żerującej na dostawie broni, to dla ks. Pirożyńskiego „pouczająca biografia”. Do czego doprowadza tego kapłana katolickiego owo spojrzenie na świat *wyłącznie erotyczne*, dowodzi niesłychany w jego ustach zwrot: „Z wyjątkiem zaprzania się wiary, nic niestosownego (!) nie ma”.

Bardzo, bardzo charakterystyczny jest stosunek tego księdza do wielu spraw. Powieść agitująca przeciw karze śmierci jest dla niego zaledwie „nieszkodliwa”; pomysł opieki nad kandydatami na samobójców — niezdrowy; wśród obelg rzuconych na Anatola France, mieści się epitet „zagorzały pacyfista”; za to innego autora chwali o. Pirożyński, że „w kreśleniu okropności wojny jest umiarkowany”...

W rezultacie ten ksiądz, który oplwał wszystkich wielkich pisarzy, od Goethego do Żeromskiego; który chce wytrącić czytelnikom z rąk niemal całą naszą literaturę, który tępi wszelką szlachetną ideę, „bez zastrzeżeń” poleca prawie wyłącznie „sympatyczną” lekturę detektywistyczno-kryminalną, czyli tę, która, jak to dowodnie stwierdzono, fabrykuje młodych zbrodniarzy. Oto do czego doprowadza autora jego wyrafinowana „moralność”.

Dziółko o. Pirożyńskiego przywodzi mi jedno wspomnienie. Podczas wojny miałem przez jakiś czas powierzony jeden z oddziałów fortecznego szpitala Nr 7 w Krakowie, pomieszczony w gmachu Akademii Sztuk Pięknych. Otóż jednego dnia zaraportowano mi, że ksiądz, który z urzędu odwiedzał chorych, przyniósł pod habitem młotek i poodbijał wstydlive części wszystkim gipsowym posągom znajdującym się w sieni i w korytarzach. Nie darował nawet boginiom i ich nadobnym wzgóreczkom! Wojna szalała, sale były pełne rannych, ludzkość przechodziła gehennę, ale księżulo interesował się tylko tym jednym...

Ten ksiądz ze swym młotkiem wydaje mi się symbolem; odzwierciedla psychikę całej kasty. Ci detektywi niemoralności sami nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia przearczi są niezdrwym erotyzmem. Czy przeciętny ksiądz strzeże celibatu czy nie, sprawa płci jest dla niego nieustającą obsesją, zboczeniem, chorobą. Przesłania mu cały świat. I to jest zupełnie naturalne; nie może być inaczej. Pamiętamy okres powojenny; ziemia kurzyła się jeszcze od krwi, przed Europą otwierały się całe kompleksy nowych zagadnień gospodarczych i moralnych, a księża nasi umieli tylko grzmieć z ambon przeciw krótkim włosom, krótkim sukniom, przeciw gołym ramionom pierwszych wioślarek. Najwyższe dla nich zadanie, to nie dopuścić, aby jakaś para się pocałowała — bodaj w książce; — poza tym wszystko jest dla nich „moralnie obojętne”. Życie przepływa koło nich jak coś obcego, niezrozumiałego, nienawistnego; widzą tylko genitalia, bodaj na gipsowym posągu. Chorzy ludzie!

Otóż wobec tego, że ci ludzie są oficjalnymi piastunami *moralności*, że najzazdrośniej strzegą swego monopolu w tym zakresie, nie jest bez znaczenia fakt, że nędza, wojna, szpiegostwo, oszustwo, spekulacje, wyzysk i wszystkie w ogóle niedole ludzi to są dla nich rzeczy „moralnie obojętne”. Czyż tym wyznaniem nie stawiają się poza społeczeństwem, w którym — i z którego — żyją?

Tak, ta idiotyczna i przez to pozornie niewinna książeczka spełnia doniosłe zadanie: dokumentuje poziom etyczny i umysłowy naszego kleru. Powinna stać się sygnałem alarmowym.

CZYNY NIERZĄDNE I NIEKTÓRE INNE

Nieznajomość prawa nie chroni — jak wiadomo — człowieka od kary; z czego wynika, że każdy obywatel powinien znać kodeks karny jak pacierz. Jest to zresztą bardzo zajmująca lektura. Podobnie jak nasz byt jest wzorzystym dywanem dzierganym z czasu i przestrzeni, tak kodeks karny jest niby misterny deseń spleciony z tych znowuż dwóch elementów: czas i kryminał. Pięć lat więzienia, dziesięć lat więzienia, dwa lata aresztu — na pozór monotonne to, a jednak jakże urozmaicone! Dlatego z najwyższym zainteresowaniem wzięłem do rąk projekt nowego kodeksu karnego, który po trzecim (ostatnim) czytaniu wyszedł z rąk komisji kodyfikacyjnej i czeka zatwierdzenia przez ciało ustawodawcze.

Przeczytałem z uwagą ten projekt i wyznaję, że na ogół jestem nim zbudowany jako wyrazem niezaprzeczonych dążeń do poprawy i postępu. Dodać należy, że komisja kodyfikacyjna miała zadanie o tyle utrudnione że nikt u nas od niej przeważnie niczego nie żąda, o nic nie walczy; tak że ona sama, z własnej inicjatywy, musi niejako wyprzedzać apatyczne i nienawykłe do stanowienia o sobie społeczeństwo. To, o co gdzie indziej wojują dziesiątki lat, my przyjmujemy niby w formie darowizny.

Oczywiście w większości punktów projekt — mimo iż przeważnie złagodzony co do wymiaru kary — nie odbiega zbyt od postanowień i sankcji, jakie znajdują się we wszystkich kodeksach świata, starszych i nowszych. Nigdzie człowieka np. za sfalszowanie weksla nie pochwalą, ale wszędzie zganią. Ale jest pewna ilość spraw — przeważnie obyczajowych — w których wyraża się przemiana pojęć. Są rzeczy, które w obowiązujących do dziś ustawach były występkiem lub zbrodnią, a które znikły w nowym projekcie; są natomiast inne, do dziś bezkarne, które jutro staną się przestępstwem. Zmiany te wynikły z ewolucji pojęć i nawzajem na przeobrażenie pojęć będą oddziaływały. Dawne kodeksy np. tropiły zaciekle niewinnych pederastów, a nie zamały spokoju człowiekowi, który zaraził młodą kobietę wenerycznie, wpędził ją w ciężę i zostawił na bruku; nowy kodeks postępuje wręcz odwrotnie.

Znamienne jest, że najwięcej nowości wnosi projekt kodeksu karnego w sferę spraw płciowych. *Reforma seksualna* wciska się dziś wszędzie jako konieczność. Ale jakaś nemezis ciąży nad tymi sprawami, skoro się znajdują na biurku prawnika; o ile, z jednej strony, twórcy kodeksu zdobyli się na pociągnięcia bardzo śmiałe i rozumne, o tyle z drugiej w jakiejś pasji *reglamentowania* życia zabrnęli w postanowienia, które byłyby zabawne, gdyby nie mogły się stać groźne.

Przebiegnijmy pośpiesznie najbardziej interesujące punkty nowego kodeksu. Zaczniemy od rzeczy *główniej* — dosłownie głównej: — od kary śmierci. Będzie czy nie będzie: kto się u nas troszczył o to? Chodziły wieści, że ma być zupełnie zniesiona; w drugim czytaniu projektu nie było jej; w trzecim widzimy, że się zjawiała znowu... Co prawda w formie tak złagodzonej, że prawie jej nie ma. Przede wszystkim nie ma zbrodni, dla której kara śmierci byłaby jedyną karą; nie ma wypadku, w którym werdykt przysięgłych powodowałby automatycznie karę śmierci, tym bardziej więc nie może być już mowy o podobnych wyrokach jak świeżo w Małopolsce, gdzie kilkakrotnie skazano na powieszenie bezdomną matkę za zabicie swego niemowlęcia. § 2 art. 223 orzeka tylko, że „kto zabija z niskich pobudek, podstępnie lub w sposób okrutny, ulega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 10 lub dożywotnio, *lub karze śmierci*”.

W praktyce, można wnosić, równać się to będzie zniesieniu kary śmierci; czemuż tedy raczej nie postawiono śmiało sprawy i nie usunięto kary śmierci w ogóle?

Widzimy ważne zmiany w postępowaniu z nieletnimi; postanowienia co do zakładów wychowawczych i zakładów poprawczych, na razie czysto teoretyczne, bo funkcje obu spełniał do dziś okropny Studzieniec. Nie ma tych zakładów, jak również nie ma i zakładów — o których mówi kodeks — dla „niepoprawnych o upośledzonej odpowiedzialności”. Ale przynajmniej daje nowy kodeks dyrektywę na przyszłość w tej mierze.

Nową zdobyczą jest § 1 art. 111, nieistniejący dotąd w żadnym z kodeksów świata, a głoszący, że „ulega karze więzienia do lat 5, kto publicznie nawołuje do wojny zaczepnej”; zneutralizowany co prawda klauzulą, że „ściganie następuje tylko wtedy, gdy czyn określony w § 1 uznany jest za karalny przez państwo, przeciw któremu nawoływanie jest skierowane”.

Z mimowolnym uśmiechem przebiegamy liczne paragrafy „o przestępstwach przeciwko zrzeczeniom prawa publicznego”.

„Kto przemocą lub groźbą wywiera wpływ na czynności sejmu, senatu... bądź tym czynnościom przeszkadza, ulega karze więzienia do lat 10”...

Z uśmiechem przeglądamy również następny rozdział „o przestępstwach przeciw głosowaniu”:

„Kto używa podstępu celem nieprawidłowego sporządzenia listy głosujących... kto się dopuszcza nadużycia przy obliczaniu głosów... kto używa przemocy lub podstępu celem wywarcia wpływu na sposób głosowania... pięć lat więzienia lub aresztu”.

Czemu ten uśmiech? Doprawdy, sam nie wiem. Ale przejdźmy do rzeczy poważnych.

Art. 197, § 2; „Kto, będąc sprawcą ciąży, uchyla się od udzielenia potrzebnej pomocy kobiecie przez niego zapłodnionej, ulega karze więzienia do lat 2 lub aresztu do lat 2”.

Art. 197, § 3: „Jeżeli skutkiem czynu przewidzianego w § 2 nastąpiła śmierć tej osoby lub jej upadek moralny, albo usiłowanie samobójstwa lub dzieciobójstwa, sprawca ulegnie karze więzienia do lat 5”.

Bardzo piękny ten nowy paragraf; ochrona kobiety i dziecka zaszczyt przynosząca uczuciom prawodawcy. Miejmy nadzieję, że sędzia, wykonywając ten paragraf, znajdzie zarazem środki, aby się on nie stał narzędziem szantażu i spekulacji.

Tu pozwolę sobie na małą dygresję.

W kodeksie austriackim istniało, jak wiadomo, *dochodzenie ojcostwa*, przy czym sędzia musiał uznać ojcem dziecka tego, kogo kobieta podała, o ile ów miał z nią sprawę w okresie od 10 do 6 miesięcy przed rozwiązaniem. Ponieważ skarżącym był opiekun dziecka, a matka była świadkiem przesłuchiwanym pod przysięgą, zatem w praktyce kobieta wybierała sobie po prostu ojca dla dziecka. W Galicji zabiedzone i zahukane kobiety nie umiały korzystać z tego prawa, może nie wiedziały o nim; ale w Wiedniu dziewczątka znały kodeks na wylot i były prawdziwym postrachem amatorów miłości. Zwłaszcza kolonia polska, złożona z niezamożnych, a zmuszonych „trzymać fason” urzędników ministerialnych drżała przed nimi: winien czy niewinien, skoro się zbliżył do kobiety, jak grom spadały wyroki o alimentach, nadwerężając poważnie pensyjki urzędnicze. Ludzie dochodzili w tym lęku do neurastenii. Do czego mógł przywieść taki święty strach przed ojcostwem, świadczy następująca autentyczna historia pewnego wiedeńskiego radcy ministerialnego, Polaka. Postępował stale, z całą urzędową systematycznością, tak: przy stosunku z kobietą używał prezerwatywy, którą następnie poddawał w jej oczach „próbie wodnej”; chował ją do koperty, pieczętował: kopertę, opatrywał datą, kazał partnerce własnoręcznie kopertę podpisać i chował ją do archiwum jako kontrdowód negatywny.

Przepraszam za tę dygresję, ale wydawała mi się interesującym dokumentem do dziejów naszej emigracji.

Ze wzruszeniem zaglądam do rozdziału XXXII *Nierząd*:

Art. 199, § 1: „Kto dopuszcza się czynu nierządnego względem innej osoby bez jej wyraźnego lub dorozumianego zezwolenia, ulega karze więzienia lub aresztu do lat dwóch. Ściganie na wniosek pokrzywdzonego”.

Tutaj dwie uwagi. Jedna językoznawcza. „Czyn nierządny”... Czemu pp. prawodawcy mówią do nas w ten sposób? Jeżeli tym stylem przemawiał św. Paweł, to już taki był jego charakter; ale dla czego pp. Mogilnicki, Makowski i Rappaport mają do nas mówić w ten sposób? Co by powiedzieli, gdybym ja, jako recenzent, tym stylem pisał sprawozdania z utworów teatralnych, które wszak bywają jednym pasmem „czynów nierządnych”? Dla czego tym hańbiącym mianem piętnować z góry to, co może być poezją, czarem, szczęściem? Skąd ten język anachoretów? Karzcie nas, gdy zawinimy, ale mówcie do nas po ludzku.

To co do formy, a teraz co do treści. Co to znaczy „bez jej wyraźnego zezwolenia”? Czy pp. prawodawcy widzieli kobietę (poza biedną prostytutką), która by dała kiedy „wyraźne zezwolenie”? Czy sama natura nie wprowadziła, nawet u zwierząt, w grę miłosną wzbraniania się samiczki jako środka mającego doprowadzić akt płciowy do pożądanej temperatury? Gdyby pp. prawodawcy — o ile nie mają osobistych doświadczeń w tej mierze — czytali bodaj *Uwiedzioną* Boya albo pierwszą pieśń *Don Juana* Byrona („I szepcząc *nie pozwolę*, pozwoliła”), nie popełniliby tej omyłki.

A „zezwozenie dorozumiane”? Jak, przez kogo? Kto to ma oceniać? Pan sędzia? Trzeba by przed nim chyba odegrać całą scenę! Faktem jest, że tego rodzaju paragraf służyć może jedynie do nadużyć lub do ośmieszania powagi sądu. Wystarczy tu zupełnie § 1 art. 202: „Kto przemocą i groźbą albo podstępem doprowadza inną osobę” itd. — za co mu kropią pp. prawodawcy 10 lat więzienia. Niech i tak będzie; gwałt to jest rzecz brzydka, „podstęp” już bardziej wątpliwa; ale owe „czyny nierządne bez wyraźnego lub dorozumianego zezwolenia” — to jest farsa.

A teraz słuchajcie, słuchajcie.

Art. 201: „Kto dopuszcza się czynu nierządnego względem nieletniego poniżej lat 17, ulega karze więzienia do lat 5”.

17 lat! Dotychczasowe kodeksy oznaczały tę granicę wieku przeważnie na lat 14; i oto nasi kodyfikatorzy jednym pociągnięciem pióra postanowili poprawić naturę, ustawy, a nawet i kościół, boć wedle prawa kanonicznego kobieta siedemnastoletnia może już dawno być mężatką i wdową. Jak wam się podoba ta zaimprovizowana przez naszych prawodawców nowa karna granica dojrzałości płciowej? 5 lat więzienia; bagatela: akurat tyle, co za nawoływanie do wojny zaczepnej, za przekupstwo urzędnika, bigamię, zabójstwo... To się nazywa sztucznie robić zbrodniarzy, bo nie ulega wątpliwości, że wystarczy przejść się w noc letnią po naszej wsi, aby zebrać lekką ręką z 1000 lat więzienia. W tym wieku chłopiec może być jak dąb, dziewczyna jak łania. Doprawdy pasja pp. prawodawców mieszania się do tych rzeczy trąci niezdrawą erotomanią; chcą koniecznie mieć w tym jakiś udział, otrzeć się o tę młodą miłość bodaj za pośrednictwem kraty więziennej. Przy czym chłopiec i dziewczyna nie mają metryki wypisanej na twarzy; znowuż pole do nadużyć.

Zważmy jeszcze ten paragraf na tle ogólnej łagodności nowego projektu; parobczak za pomocanie szesnastolatki za jej zgodą; biedna wdowa za przytulenie chłopaka, któremu wąż się sypie: — 5 lat więzienia; kasjer za kradzież bodaj miliona najwyżej 2 lata; gdzież proporcja?

Razi kogo pewnie, że używam tak gminnych wyrażeń. Robię to umyślnie. Zdaje mi się, że w owym strasznym żargonie prawniczym zatracą się poczucie proporcji i życia. Powiedźcie sędziemu lub prokuratorowi: „czyny nierządne”, zaraz zmarszczy brew i zadzwoni w kajdanki; powiedźcie mu: „pomacać”, uśmiechnie się życzliwie. A wszak to są synonimy.

Podobno sami pp. kodyfikatorzy spostrzegli się, że strzelili bąka, i ta granica wieku ma być zmodyfikowana. Jeden z członków komisji kodyfikacyjnej dał na to słowo *honoru* pewnemu prokuratorowi Sądu Najwyższego. (Autentyczne!)

Od tego wrogiego życiu paragrafu odbija godny uznania liberalizm w stosunku do homoseksualizmu, który znikł zupełnie z projektu kodeksu karnego. Nie znaczy to (mam nadzieję), aby pp. prawodawcy to zboczenie pochwalali; ale uznali, bardzo rozsądnie i zgodnie z duchem całej nowoczesnej nauki, że paragraf tutaj nic nie wskóra, a raczej, przeciwnie, mnoży tylko homoseksualistów, wytwarzając atmosferę sprzyjającą szantażowi i spekulacji fałszywych *homoerotów*.

Również uznano za niegodne powagi sądów zaprzętać je rzadkimi wypadkami sodomii; zagrożone kózki i owieczki przekazano towarzystwom ochrony zwierząt.

Martwy paragraf o cudzołóstwie, które jeszcze w pierwszym czytaniu kodeksu miało być karane aresztem lub grzywną (!), w trzecim czytaniu również znikł z kodeksu karnego.

Mam wątpliwości co do sformułowania art. 211:

„Kto dopuszcza się publicznie czynu nierządnego lub działania mającego na celu podniecenie pożądliwości płciowej... ulega karze aresztu do roku”.

„Czyn nierządny”... powiedziałem już, co o tym myślę. A „działanie mające na celu podniecenie pobudliwości płciowej” to może być tango, wycięta suknia, kieliszek szam-

pana, deklamowanie wierszy, perfumy lub płyta gramofonowa. Natomiast te czynności, które zapewne pp. prawodawcy mieli na myśli (rozpinanie spodni na ulicy przez tzw. *satyrów*), wierzcie mi, panowie, najmniejszą mają szansę podniecenia czyjejkolwiek *pobudliwości*. Trzeba by to inaczej zredagować. I w ogóle za dużo tego kodyfikowania spraw, które się najmniej do tego nadają. Czy społeczeństwo, doprawdy, nie ma innych zmartwień?

Przechodzimy teraz do niezmiernie ważnego paragrafu o spędzaniu płodu. Art. 231 stawia nasz kodeks w rzędzie najświatlejszych i najbardziej ludzkich. Po określeniu przestępstw o spędzeniu płodu i sankcji karnych w tej mierze, art. 231¹² orzeka:

„Nie ma przestępstwa z art. 299 i 230, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przy tym był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, jej ciężkie położenie materialne, dobro rodziny lub ważny interes społeczny”.

W pierwszym czytaniu nie było tej klauzuli zupełnie; w drugim była, ale w mniej pełnej formie; tutaj nareszcie rozwiązuje ona ręce lekarzom i kładzie w przyszłości kres przemyślowi pokątnych „poroniarek”, ratując życie i zdrowie setkom tysięcy kobiet.

Nowy jest § 1 art. 242:

„Kto naraża człowieka na zarażenie chorobą weneryczną, ulega karze więzienia do lat 5”.

Jak to będzie wyglądało w praktyce?

Naruszenie czci karze art. 252 aresztem do lat 2 lub grzywną, ogólne zaś postanowienia o grzywnach określają je — wedle uznania sędziego — do 100 000 zł. w złocie. Ponieważ kodeks podciąga równocześnie ewentualny pojedynek pod zwykle zabójstwo, może sprawa obrony czci wejść szczęśliwie w jaką nową fazę, dotąd bowiem zawieszona jest, w razie pojedynku, między błażnictwem a morderstwem lub też zdana na jałową mitręgę „sądów honorowych”.

Jak wspomniałem, uderzająco oszczędny jest nowy kodeks co do przestępstw wobec mienia. Najcięższe „przywłaszczenie powierzonego mienia” karane jest dwoma latami więzienia. Bardzo ludzki jest artykuł orzekający, iż sąd może „stosować nadzwyczajne złagodzenie kary lub jej nie wymierzać, jeżeli sprawca zabrał przedmiot małej wartości celem niezwłocznego spożycia”. Nie znaczy to oczywiście, aby każdy z was miał prawo lasować kanapki z łososiem w firmie braci Hirschfeld.

Słowem, studiując ten projekt, w sumie trzeba uznać, że prawodawcy nasi robili, co mogli, aby się wyzwolić z tradycji zbytecznego okrucieństwa cechującego dawne kodeksy; aby utrzymać porządek społeczny kosztem mniejszej sumy cierpienia ludzkiego. Nie ulega kwestii, że w wielu punktach nasz nowy projekt kodeksu karnego będzie przyświecał innym, dotychczas obowiązującym w Europie, rozumem i ludzkością.

Ale zarazem podczas tej lektury nawiedza nas jedna wątpliwość. Kiedy czytamy ten długi szereg artykułów i paragrafów, chcielibyśmy mieć pewność — a niestety, nie mamy jej — że kara istotnie ogranicza się do tego, co wymierzyło prawo, że władze więzienne nie obciążają jej sposobami „domowymi”, które umykają się publicznej kontroli. Cóż znaczyłoby wobec tego to staranne dawkowanie kar! Nigdzie w tym kodeksie karnym nie czytamy o smutnych praktykach, o których tak często słyszymy w wieściach przedostających się zza murów więziennych... Czemu od ducha ludzkości naszych prawodawców często tak odbiega duch okrucieństwa tych, którym powierza się wykonanie kary? Dowiadujemy się, że jeden z członków komisji kodyfikacyjnej opracowuje właśnie *kodeks wykonawczy* zapewniający najściślejszy wgląd w sposób wykonywania kary, w psychikę odsiadującego karę i dopuszczający daleko idących skrótów jej trwania. Byłby to ważny krok naprzód, znów jedno z posunięć wyprzedzających dzisiejsze kodeksy karne Europy. Tylko znów chodziłoby o to, jak ten *kodeks wykonawczy* będzie... wykonywany!

To jedno. A drugie to, że wedle dzisiejszych pojęć karanie zbrodni jest tylko jedną i to najmniej chlubną funkcją porządku społecznego. Zapobieganie występkom, to piękniejsze i — w gruncie — praktyczniejsze działanie. Kiedy społeczeństwo znajdzie się wobec

¹²art. 231 — Ten paragraf był przedmiotem omawianego wyżej listu pasterskiego dziewięciu biskupów. [przypis autorski]

przestępcy, jakże często musi w duchu uznać, że nie spełniło wobec tego człowieka swoich obowiązków, nie troszczyło się o niego od dziecka, nie dało mu oświaty, nie dało mu pracy, nie umiało go wychować. A kiedy przestępca dostanie się do więzienia, cóż się czyni, aby opuściwszy je, nie musiał do niego wracać? Miałem niedawno sposobność czytać w rękopisie pamiętnik więźnia, który rozpoczął swoje życie więzienne młodym chłopcem i przez kilkanaście lat z małymi przerwami wciąż w więzieniu przebywał, mimo że za każdym razem miał szczerą postawę odmiany. Ale co taki ma począć? Wychodzi zza kraty bez środków do życia; pracy i pomocy na poczekaniu nie znajdzie; jedyni ludzie, których zna i od których może spodziewać się czegoś, to jego kompani-złodzieje; wraca więc do ich towarzystwa i po krótkim czasie dostaje się z powrotem do więzienia. Jest dla społeczeństwa rzeczą jeżeli już nie ludzkością, to prostego wyrachowania, aby każdy, kto tego pragnie, miał możliwość powrotu na uczciwą drogę. Praca wychowawcza nad nieletnimi przestępcami, opieka nad zwolnionymi więźniami po odsiedzeniu kary, powinny być „rozbudowane” jak najszerzej.

Na razie zapewne to są marzenia. Ale do takich marzeń dziwnie nastraja monotonna melodia kodeksu karnego z jego powtarzającym się refrenem: 3 lata więzienia, 5 lat więzienia, 10 lat więzienia...

POST SCRIPTUM

Obraz, na który składają się rozdziały tej książki, nie byłby wierny, gdyby go nie dopełnić *ostatnimi biuletynami*. Zatem trzeba stwierdzić, że od czasu, jak kreśliłem moje rozważania, okupacja posunęła się na całej linii. *Projekt ustawy małżeńskiej* — to zdaje się już faktem — pogrzebany jest na czas nieograniczony. Równocześnie odbywa się cicha, ale skuteczna praca nad przerobieniem — w sensie na wskroś reakcyjnym — wszystkich niemitych klerowi artykułów *nowego kodeksu karnego*. Słowem, wystarczyło jednego gestu naszych czarnych władców, aby przekreślić dziesięcioletnią pracę komisji kodyfikacyjnej.

Przechodzę myślą, co jeszcze zaszło? Ot, incydent drobny, ale znamienity. Jednemu z głównych katolickich poznańskich działaczy, którego nazwisko widniało pod każdym manifestem „obrażonej moralności”, prokurator zmuszony był wytoczyć sprawę karną o *czyny nierządne z nieletnimi*, tym razem bardzo autentyczne. Paradoks dość normalny, tak samo jak to, że klerykałna „Gazeta Warszawska” w suto płatnych anonsach zachwala środki na spędzenie płodu (patrz *Dokumenty*).

Co jeszcze? Ano, socjalistyczny „Naprzód” ustami red. Haeckera, odzegnał się od nietaktownego Boya i wyraził czolobitność *wielkodusznyemu biskupom* („Słówka do Boya”).

Co jeszcze? Historia dziewczyny z „bieli”, przytoczona swego czasu przeze mnie w *Rozmyślaniach wielkopostnych*, znalazła tymczasem swój epilog przed sądem. Przywiedziona do ostateczności, dziewczyna oblała księdza kwasem siarczanym i poszła do kryminału...

Co jeszcze? W Warszawie odbył się *Zjazd pisarzy katolickich*... Mimo wszystkich zabiegów sfer duchownych, które zjazd ten aranżowały i starały się mu nadać charakter *arcybractwa literackiego*, skończył się on humorystycznym fiaskiem. Oprócz paru eunuchów literackich, nie wzięto na ten lep nikogo.

Bo godne uwagi jest, że właśnie w ostatnim czasie nastąpiło dość wyraźne przegrupowanie naszych pisarzy. I pisarzy, i pism. Świeżo powstałe w Warszawie pod redakcją świetnego poety Wierzyńskiego czasopismo „Kultura” znakomicie przedłużyło *front antyokupacyjny*. Ale najosobliwsze rzeczy obserwujemy na terenie Poznania. Organ świętoszków, „Tęcza”, uległ jako tygodnik likwidacji; obmierzył i swoim dostawcom, i swoim odbiorcom. Powstał natomiast w jego miejsce „Dwutygodnik literacki”, który od początku rozpoczął wojnę z władzami — jak to nazywa — „Klechistanu”. Pierwszy numer wywołał istną burzę w czarnym świątku, zwłaszcza że znaleźli się w „Dwutygodniku” wszyscy niemal... dawni współpracownicy „Tęczy”, z Zegadłowiczem na czele. Ale już trzeci numer pisma wychodzącego w Poznaniu trzeba było drukować — w Krakowie; tajna ręka zorganizowała bojkot pisma w drukarniach poznańskich...

Bądź co bądź, ta mobilizacja piór przeciw czarnej okupacji, to jest rzecz pocieszająca. Dać pierwszy odpór tej nawale, dopomóc do zorganizowania jakiejś samoobrony, to jest rola pisarzy; *przede wszystkim ich*. Bo powiedzmy sobie: każdy rząd w Polsce, chce czy nie chce, będzie się ugiął pod naciskiem kleru, dopóki ciemnota lub bierność ogółu będzie

czyniła ten kler realną czy fikcyjną potęgą. Dopóki w Polsce będzie można wykrzykiwać wzniośle „Bóg i religia”, tam gdzie w gruncie chodzi o władzę i o pieniądze — dopóty kasta wyodrębnionych z życia dzikusów będzie regulatorem najdonioślejszych spraw społeczeństwa, z jego największą szkodą.

Są bakterie, które zabija się światłem.

OBJAŚNIENIA I DOKUMENTY

ŚWIADOME MACIERZYŃSTWO

Kiedy w Warszawie powstała poradnia *Świadomego macierzyństwa*, zaczęto ją łączyć z moim nazwiskiem, nazywając ją w poufałym skróceniu *Poradnią Boya*. Dowcipy pisemek humorystycznych i kabaretów spopularyzowały tę nazwę. Mogę być tylko dumny z tego, tak jak szczęśliwy jestem, że mi się udało przyczynić w pewnej mierze do powstania tej pierwszej w Polsce poradni zapobiegania ciąży. W istocie jednak jest to instytucja społeczna, której statut pozwalam sobie tutaj przytoczyć, zarówno dla rozproszenia nieporozumień, jak dla ułatwienia orientacji innym miastom i ośrodkom, które chciałyby się starać o założenie takich poradni.

STATUT PRZYCHODNI SEKCJI REGULACJI URODZEŃ ROBOTNICZEGO TOWARZYSTWA SŁUŻBY SPOŁECZNEJ

§ 1. Przychodnia nosi nazwę *Poradni świadomego macierzyństwa* i mieści się w domu przy ul. Leszno Nr 53, w lokalu szczegółowo oznaczonym na planie, mieszczącym się w aktach Komisariatu Rządu.

§ 2. Właścicielem przychodni jest *Sekcja Regulacji Urodzeń Robotniczego Towarzystwa Służby Społecznej*.

§ 3. Celem *Poradni* jest udzielanie porad i wskazówek kobietom w sprawach zapobiegania ciąży. Pomoc udzielana w przychodni polega na badaniu lekarskim i ordynacji lekarskiej. Nadto wykonywane są w przychodni zabiegi¹³ uznane za potrzebne przez lekarza ordynującego, o ile te zabiegi mogą być wykonane środkami, którymi rozporządza przychodnia.

§ 4. Opłaty pobierane w przychodni wynosić będą po zł. 3; bezrobotne lub kobiety polecane przez instytucje społeczne jak np. przychodnie przeciwgruźlicze itp. będą z opłat zwolnione. Warunki przyjmowania chorych będą podane do publicznej wiadomości w poczekalni przychodni.

§ 5. Poradnia utrzymywana jest na zasadzie samowystarczalności, to znaczy z wpływów od chorych, przy poparciu *Sekcji Regulacji Urodzeń przy Robotniczym Towarzystwie Służby Społecznej*.

§ 6. Przychodnia posiadać będzie odpowiedzialnego kierownika. Kierownikiem tym będzie lekarz posiadający prawo wykonywania praktyki lekarskiej w Państwie Polskim i specjalne przygotowanie ginekologiczne oraz co najmniej 5-letnią praktykę lekarską.

§ 7. Kierownika przychodni powołuje *Zarząd Sekcji Regulacji Urodzeń Robotniczego Towarzystwa Służby Społecznej*. O ustanowieniu kierownika i każdej jego zmianie zawiadamia właściciel przychodni bezzwłocznie, a w każdym razie nie później niż w ciągu 8 dni, Komisariat Rządu m. st. Warszawy. Kierownik przychodni jest odpowiedzialny przed władzami nadzorczymi pod każdym względem za działalność przychodni i jest w zakresie lecznictwa i higieny przełożonym sił lekarskich i innych zatrudnionych w przychodni. Kierownik przychodni uczestniczy w inspekcjach dokonywanych przez delegatów władz nadzorczych, przedstawia władzom nadzorczym sprawozdanie roczne z działalności przychodni, według wzoru i w terminie ustalonym przez Ministra Spraw Wewnętrznych, przestrzegając obowiązującego mianownictwa chorób.

§ 8. Kierownictwo Przychodni obowiązane jest stosować się do dążeń władz nadzorczych w sprawie usuwania wykazanych przez te władze usterek i zmiany personelu nieodpowiadającego zadaniu.

§ 9. Tak kierownik Przychodni (§ 6), jak i inni lekarze przyjmujący w Przychodni (§ 7) będą mieli oznaczone stałe godziny przyjęć w Przychodni, a nazwiska tych lekarzy i godziny ich przyjęć będą podane do publicznej wiadomości w poczekalni Przychodni.

¹³wykonywane są w przychodni zabiegi — Chodzi tu o ewent. leczenie schorzeń narządów kobiecych, często nieodzowne przed zaordynowaniem środków zapobiegawczych. [przypis autorski]

§ 10. Prócz kierownika Przychodni, udzielają pomocy lekarskiej w przychodni i inni lekarze, posiadający prawo praktyki w Państwie Polskim, zaangażowani w tym kierunku przez właściciela przychodni w porozumieniu z kierownikiem.

§ 11. Lokal przychodni winien być tak urządzony i utrzymywany, by przyjmowanie chorych, udzielanie porad i wykonywanie zabiegów mogło odbywać się zgodnie z zasadami higieny oraz współczesnymi wymaganiami.

Zmiany w przeznaczeniu poszczególnych ubikacji w przychodni, określone w planie, wymagają zezwolenia władzy nadzorczej.

Przychodnia winna być zaopatrzona w niezbędne przyrządy do badania i leczenia chorych, opatrunki, środki do odkurzania oraz przybory do utrzymania czystości.

§ 12. Kierownik przychodni i lekarze ordynujący w przychodni są obowiązani do donoszenia o wypadkach chorób zakaźnych i innych chorób występujących nagminnie, oraz o wypadkach chorób zawodowych, stosownie do obowiązujących przepisów prawnych.

§ 13. W przychodni winien być prowadzony skorowidz przyjmowanych chorych z wyszczególnieniem imienia, nazwiska, wieku, zatrudnienia, adresu i daty zgłoszenia do przychodni.

Nadto winny być prowadzone także inne książki i zapiski, jakie okażą się niezbędne dla sporządzenia sprawozdań rocznych z działalności przychodni.

§ 14. Właściciel może zamknąć przychodnię, jednak winien o tym zawiadomić pisemnie władze nadzorcze co najmniej na miesiąc przed zamknięciem przychodni.

§ 15. Bezpośrednią władzą nadzorczą nad przychodnią jest Komisariat Rządu m. st. Warszawy, który będzie z reguły wykonywać nadzór za pośrednictwem swoich funkcjonariuszów fachowych lekarzy.

§ 16. Zmiana statutu lub jego poszczególnych paragrafów wymaga zatwierdzenia władzy nadzorczej.

Zatwierdzony przez Komisariat Rządu m. st. Warszawy dnia 16/IX 1931 r. za Nr. L. Z. J. II. I c/6.

PROF. THULLIE, LEKKOMYŚLNY SENATOR

Na czwartkowym posiedzeniu senatu wniesiono następującą interpelację:

Interpelacja sen. Thulliego i kol. do p. ministra spraw wewnętrznych w sprawie koncesji na poradnię zapobiegania ciąży w Warszawie.

Dowiadujemy się, że komisarz rządu m. st. Warszawy udzielił rzekomo wskutek starań p. Boya-Żeleńskiego i p. Budzińskiej-Tylickiej zezwolenia na otwarcie w Warszawie przy ul. Leszno poradni zapobiegania ciąży.

Jasną jest rzeczą, że zapobieganie ciąży jest tylko eufemizmem dla przerywania ciąży, które jest wedle obowiązujących ustaw karalne. Nie potrzeba udowadniać, jak otwarcie tego rodzaju poradni szkodliwie wpłynie na moralność publiczną. Zresztą zabiegi, zapobiegające ciąży, odbijają się szkodliwie na organizmie kobiecym tak wedle zdania najpoważniejszych lekarzy jak i wedle statystyki sowieckiej, która wykazuje, że skutkiem takich zabiegów 37% kobiet w Rosji jest bezpłodnych.

Wobec tego zapytujemy p. ministra:

1) czy jest skłonny cofnąć udzielone przez komisarza rządu m. Warszawy zezwolenie na otwarcie poradni zapobiegania ciąży?

2) czy zechce pouczyć podwładne władze polityczne o niedopuszczalności wydawania takich koncesji?

Zanim p. minister udzieli odpowiedzi p. senatorowi, pozwolę sobie, jako wciągnięty w dyskusję, odpowiedzieć również kilka słów.

Kwestia regulacji urodzeń (*birth-control*) i poradni dla zapobiegania ciąży istnieje od lat w wielu krajach Europy; nie bardzo więc uchodzi, aby w poważnym senacie mówiono o niej jak o żelaznym wilku i aby rzucano lekkomyślne insynuacje, mocno trącające oszczerstwem. Tak więc: na jakiej zasadzie p. senator Thullie twierdzi, że „jasną jest rzeczą, że zapobieganie ciąży jest tylko eufemizmem dla przerywania ciąży”, gdy notorycznie wiadomą rzeczą jest, że poradnie dla zapobiegania ciąży nic wspólnego z jej *przerywaniem*

nie mają i wręcz przeciwnie, są najdzielniejszym środkiem w zwalczaniu plagi poronień? A skoro te dwie rzeczy nic z sobą wspólnego nie mają, co ma tu do roboty jakaś mętna i fantazyjna statystyka jakoby sowiecka, wedle której 37% (!) kobiet w Rosji jest bezpłodnych wskutek „takich zabiegów”?!
*
Na moją odpowiedź zamieszczoną w „Wiadomościach Literackich” oraz w nr „I. K. C.”¹⁴⁷ z dnia 2 listopada, replikował znów p. senator Thullie. Ponieważ uważam sprawę za bardzo doniosłą, a usunięcie *wszelkich nieporozumień* za pożądane, pozwalam sobie wyjaśnić jeszcze raz p. senatorowi co następuje:

Poradnie dla zapobiegania ciąży pod kierunkiem fachowych lekarzy istnieją od dawna w wielu krajach i działają z niezmiernym pożytkiem. Ograniczają liczbę urodzeń, ale w tej samej proporcji zmniejszają śmiertelność dzieci; stosunki zdrowotne, ekonomiczne i moralne poprawiają się znakomicie. Dlatego w Holandii od paru dziesiątków lat uznano tego rodzaju poradnie oficjalnie jako *instytucję użyteczności publicznej*. Wydatnie działają poradnie w Skandynawii, mnożą się z każdym dniem w Niemczech itd. Bałamutnym słowom p. senatora o „zdaniu najpoważniejszych lekarzy” przeciwstawić można fakt, że w r. 1922 kongres w Londynie przyjął uchwałę lekarzy, z których 161 — na 164 zebranych — uznało regulację urodzeń za *najpilniejsze zadanie społeczne*. Dn. 28 kwietnia r. 1928 angielska izba lordów wezwała rząd do usunięcia zakazu, który wprzód zabraniał instytucjom społecznym uświadamiania kobiet o metodach chronienia się od ciąży. Odtąd poradnie cieszą się tam poparciem rządu. W r. 1929 wreszcie powszechny zjazd biskupów anglikańskich w Londynie uznał godziwość zapobiegania ciąży, w razie gdy zajście w ciążę będzie „z jakichkolwiek powodów szkodliwe”.

Oto platforma, na której można by dyskutować o tej pierwszej w Polsce poradni zapobiegania ciąży; ale w żadnym razie nie może ona być pozorem dla demagogicznych interpelacji.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Wiadomą jest rzeczą, że ile jest krajów w Europie, czy *regulacja urodzeń* jest w nich oficjalnie popierana czy zwalczana, wszędzie jest ona powszechną praktyką tzw. klas wyższych, bez względu na barwę polityczną. Nigdy nie słyszy się jakoś, aby dyrektor fabryki, a nawet profesor politechniki miał ośmioro albo dwanaścioro dzieci, jak to jest aż nazbyt częste u robotnika lub chłopa. Czyżby fizjologia tych klas była inna? Chyba nie: po prostu stosują one z dawien dawna środki zapobiegawcze, których p. Thullie — dziś, w dobie bezrobocia! — *chciałby wzbronąć najbardziej potrzebującym*. Żałuję, że nie jestem senatorem: zaraz postawiłbym *wniosek nagły*, aby ustalić liczbę potomstwa każdego z pp. interpelantów oraz zażądać od nich wylegitymowania się z przyczyn, w razie gdyby ta liczba okazała się rażąco szczupłą w stosunku do nieograniczonych dążeń rozrodczych matki-natury.

*

Prof. Thullie pisze, że „ponieważ inicjatorem poradni jest p. Boy-Żeleński, który, jak wiadomo, walczy o niekaralność metod przerywania, nie można się obronić wrażeniu, że poradnia ta będzie udzielać rady w myśl zasad p. Boy-Żeleńskiego, tak co do sztucznego zapobiegania, jak i przerywania odpowiednich stanów kobiecych”.

Ubolewać muszę, że p. senator Thullie opiera swą interpelację na „wrażeniach”, podczas gdy bardzo łatwo byłoby w tym celu poinformować się o istotnym stanie rzeczy. Odsyłam w tym celu p. senatora do nowej, *umyślnie dla niego* napisanej mojej broszury: *Jak skończyć z piekłem kobiet? Rzecz o świadomym macierzyństwie*. Tutaj, nie chcąc nadużywać gościnności dziennika, mogę mu tylko kilka słów odpowiedzieć.

Otóż, walczyć o *niekaralność przerywania ciąży* a być zwolennikiem przerywania — to są *dwie różne rzeczy*. Walczą o niekaralność wszyscy ci — a są między nimi najpoważniejsi prawnicy, społecznicy i lekarze — którzy są przeświadczeni nie tylko o bezskuteczności paragrafów, ale i o ich szkodliwości w tym sensie, że odbierają one kobietom pomoc lekarza, a wydają je na łup pokątnego przemysłu poroniarek z uszczerbkiem ich zdrowia i życia.

¹⁴⁷I. K. C. — skrót od: „Ilustrowany Kurier Codzienny” czasopismo 1910–1939. [przypis edytorski]

Słuszność tego stanowiska uznała nasza Komisja kodyfikacyjna, uwzględniając już w drugim, ale zwłaszcza w trzecim czytaniu swego *projektu* najdalej idące wyjątki od karności przerywania tego stanu i pozwalając na wykonywanie tego zabiegu lekarzom w razie *istotnej* potrzeby.

Wszystko to nie zmienia faktu, że uważam — jak wszyscy zresztą — przerywanie ciąży za nader smutną ostateczność, od której trzeba kobiety o ile możliwości chronić i ratować. Do tego służą przede wszystkim poradnie dla *zapobiegania*, działające z pożytkiem w wielu krajach Europy. Gdyby prof. Thullie zapoznał się choćby pobieżnie z dotyczącą literaturą, wiedziałby, że te poradnie nie tylko *nic wspólnego z przerywaniem ciąży nie mają*, ale wprost przeciwnie, są najskuteczniejszą bronią w walce z plagą poronień.

Wszystko to wyjaśniłem już poprzednio; nie rozumiem zatem, co znaczy powoływanie się na autorytety w sprawie zgubnych skutków *przerywania ciąży*. Ależ my te zgubne skutki znamy; i dlatego właśnie zakładamy naszą poradnię zapobiegawczą. Autorytety prof. Thulliego nie mogą więc być w żadnym stopniu argumentem *przeciw poradniom* świadomego macierzyństwa, ale są najdzielniejszym argumentem *za poradniami*.

Prof. Thullie pisze dalej, że dzieci *znacznie lepiej się chowają w licznej rodzinie*. Być może, gdy chodzi o rodziny względnie zamożne. Ale nie wiem, jak prof. Thullie zastosuje swój aforyzm w baraku dla bezrobotnych albo w ciasnej i brudnej izbie, w której gnieździ się po kilka rodzin.

Na zapytanie moje o cyfrę dzieci u pp. interpelantów-senatorów, prof. Thullie legitymuje się, że ma sześcioro dzieci i że wychował je na ludzi. Bardzo pięknie. Ale pozwolę sobie zrobić jedną uwagę. Sześcioro dzieci, to jest bardzo dużo wedle społeczeństwa, ale bardzo mało wedle natury. Środki natury są znacznie większe. Lekarz kasy chorych dr Kluszyński opowiada o wypadku, w którym kobieta od siedemnastego roku życia *dwadzieścia razy rodziła i ronila* bez przerwy. Dr. Rubinraut, lekarz poradni, cytuje pacjentkę 32-letnią, która miała sześcioro (*też sześcioro, panie senatorze...*) dzieci, z których żyje dwoje, a oprócz tego *przeszła 7 poronień* z ciężkimi komplikacjami. A to nie są wyjątki, to jest w ubogiej klasie prawie norma. Znana działaczka amerykańska, *Margareta Sanger* w ciągu swej działalności otrzymała paręset tysięcy listów od kobiet; z tych listów ogłosiła 5 000: polecam panu senatorowi tę lekturę. Oto np. kobieta 35-letnia: ośmioro dzieci, trzy poronienia, o 6-tej rano wydoiła 6 krów, o 9-tej urodziła dziecko, najmłodsze ma 9 miesięcy; drży na myśl, że mogłaby jeszcze jedno urodzić. „Gdybym mogła, pisze jedna z korespondentek *Margarety Sanger*, weszłabym na dach, aby krzyczeć kobietom, co mają robić”.

Dla tych właśnie nieszczęśliwych otwieramy naszą poradnię. Niechże pan senator dziękuje Opatrzności, że go pomieściła pośród uprzywilejowanych, ale niech nam w naszej pracy kamieni pod nogi nie ciska.

WYJAŚNIENIE I ZACIEMNIANIE

Minister spraw wewnętrznych p. Pieracki udzielił odpowiedzi na głośną interpelację senatora Thullie i towarzyszy w sprawie poradni *Świadomego Macierzyństwa*. P. minister stwierdza po prostu, że poradnia została założona przez osoby uprawnione i zgodnie z wymaganiami rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej; że statut poradni nie zawiera przepisów kolidujących z prawem; że w razie wypadków działalności niezgodnej ze statutem oraz uprawiania niedozwolonych praktyk, komisariat rządu może stosować rygory, aż do zamknięcia poradni włącznie.

Niezadowolona jeszcze z tej prostej i jedynej możliwej repliki *Katolicka Agencja Prasowa* opatruje ją komentarzem, insynuując, iż, „mimo że władze państwowe zobowiązują się przestrzegać, aby w poradniach nie uprawiano występku przerywania ciąży, to jednak kontrola taka będzie zawsze utrudniona”.

Osobliwe rozumowanie! Biorąc rzeczy w ten sposób, nie można by udzielić koncesji np. na atelier dentystyczne, bo bardzo utrudniona jest kontrola, czy dentysta nie będzie gwałcił pacjentek. Nie można by udzielić pozwolenia na założenie *Katolickiej Agencji Prasowej*, ponieważ utrudniona jest (i bardzo, niestety, utrudniona!) kontrola, czy lokal agencji nie będzie służył do pijaństwa i gier hazardowych, albo czy dyrektor agencji nie był cichym akcjonariuszem *Oazy*... Skontrolowanie tego jest bardzo utrudnione. Ale gdy

chodzi o poradnię *Świadomego Macierzyństwa*, kontrola jest nie tylko łatwa, ale i zbyt tuczna. Bo, biorąc ze stanowiska czysto lekarskiego, całkiem innych urządzeń wymaga poradnia dla zapobiegania ciąży, a innych klinika dla przerywania ciąży. Dla celów poradni wystarczy mały pokój, jeden lekarz i fotel do badania pacjentek; dla przerywania ciąży trzeba by sali operacyjnej, instrumentarium, wyszkolonej obsługi, no i bodaj paru łóżek dla chorych. Mieszać te dwie rzeczy z sobą może tylko albo głupiec, albo zawodowy potwarca.

PISMO LEKARZY ZAKOPIAŃSKICH

Niestrudzona działalność publicystyczna p. dr Tadeusza Boya-Żeleńskiego, mająca na celu uzdrowienie najbardziej zaniedbanych dziedzin życia społecznego, jego bezkompromisowa walka z obłudą i wstecznictwem, śmiałe odmalowanie ciemni „piekła kobiet”, ostatnie odważne wypowiedzenie się w obronie projektu nowej ustawy małżeńskiej i najbardziej humanitarnych artykułów nowego kodeksu karnego, wreszcie propaganda *świadomego macierzyństwa* — budzą dla niego w ludziach zdrowo i niezależnie myślących głęboki podziw i uznanie.

W prawdziwym przeświadczeniu, że realizacja idei, o które walczy dr Boy-Żeleński, stanie się podwaliną dla nowej lepszej przyszłości jak najszerzych warstw społeczeństwa, że da im zdrowie i zadowolenie z życia — my, grono lekarzy zakopiańskich, ludzie, których powołaniem jest niesienie pomocy cierpiącym — doceniając w pełni doniosłość podjętej przez swego wielkiego kolegę akcji — przesyłamy mu słowa uznania, solidarności oraz życzenia jak najlepszych jego pracy wyników.

Dając równocześnie wyraz naszej radości z powodu urzeczywistnienia się jednej z myśli propagandowych przez dr Boya-Żeleńskiego, ślemy zarazem na jego ręce słowa głębokiego uznania pracownikom pierwszej poradni *Świadomego Macierzyństwa* wielce szanownym kolegom: p. dr Budzińskiej-Tylickiej, p. dr Kluszyńskiemu, p. dr Rubinrautowi oraz ich nieznanym nam współpracownikom.

Podpisy 40 lekarzy: dr Bejnarowiczówna, dr Białynicki-Birula, dr Dadej, dr Dadlez, dr Dąbrowski, dr Eichorn, dr Fiszer, dr Gabryszewski, dr Gadomski, dr Gross, dr Hawranek, dr Jagodowski, dr Jagoszewski, dr Jasińska, dr Jasiński, dr Januszkowski, dr Kamler, dr Karwacki, dr H. Karwowski, dr K. Karwowski, dr Kowalewski, dr Kuczewski, dr Lenartowska, dr Malinowski, dr Mangel, dr Masztalerz, dr Morawski, dr Niedźwiedzka, dr Nowotny, dr Papier, dr Siniczenko, dr Skibiński, dr Sokołowski, dr Stępniewski, dr Tomaszewicz, dr Totwen, dr Totwenowa, dr Wandyczowa, dr Wieselman, dr Żychoń.

Oświadczenie lekarzy kaliskich

DO REDAKCJI „WIADOMOŚCI LITERACKICH”:

Uprzejmie prosimy o dołączenie naszych podpisów pod wystosowanym do Boya-Żeleńskiego przez 40 lekarzy zakopiańskich adresem, w którym wyrażają mu słowa uznania za Jego śmiałą i męską akcję publicystyczną.

Kalisz, 22 stycznia 1932 r.

Dr Mieczysław Cichocki, dr Karol Cywiński, dr Adolf Czajkowski, dr Alfred Dreszer, dr Marek Grabowski, dr Bronisław Koszutski, dr Zygmunt Mąka, dr Karol Niepokojczycki, dr Tadeusz Pawłowski, dr Karol Piotrowski, dr Wojciech Plewniak.

SPRAWA KARNA AUTORA *Cyjankali*

Wypadek, który zaprzęta opinię publiczną w Niemczech, dotyczy wprowadzie sprawy przede wszystkim życiowej, ale ociera się o literaturę. Chodzi o uwięzienie dr Friedricha Wolfa, autora granej i u nas sztuki *Cyjankali*, uwięziony zaś został pod zarzutem dokonywania niedozwolonych operacji, czyli za obronę czynem zasad, których bronił słowem ze sceny.

Sztuka *Cyjankali*, utwór bez większej wartości artystycznej, ale przeniknięty szczerym humanitaryzmem, ma cele przede wszystkim propagandowe. Dosadnie przedstawia głu-

potę i okrucieństwo osławionego paragrafu 218 niemieckiego kodeksu karnego, który nie tylko okłada srogimi karami zabieg przerywania ciąży, nie tylko zabrania lekarzowi udzielenia pomocy nieszczęściu, ale czyni z lekarza zniechęconego denuncjanta, konfidenta policji. I widzimy tam na scenie kontrast, który co dzień powtarza się w życiu: bezrobotna proletariuszka, nie mogąc znaleźć fachowej pomocy, ginie w rękach partaczy, gdy ten sam lekarz, który z morałem na ustach odmawia pomocy biedaczce, skwapliwie idzie na rękę, w analogicznej sytuacji, zamożnej klientce. Sztuka dr Wolfa maluje całą gehennę proletariatu, trzymanego w tej mierze w rozmyślnej ciemności, podczas gdy moralizatorzy zachowują dla siebie wszystkie przywileje bezkarności. Oświetla jaskrawym światłem paragraf, bezsilny i morderczy zarazem, który nie zapobiega niczemu, a tylko pogłębia zło; który demoralizuje obywateli, ucząc ich lekceważyć i obchodzić prawo; który sprzyja denuncjacji i szantażowi; który wreszcie czyni zbrodniarzami trzecią część ludności. Bo statystyka oblicza, że trzecia część niemieckich kobiet dopuszcza się występku przerywania ciąży.

Ale nie będę się wdawał w samą kwestię, którą omówiłem dostatecznie w książce *Piekło kobiet*. Jedno chciałem tylko zauważyć; mianowicie, śledząc dyskusje w Niemczech a u nas, widzę, że głupota i perfidia i tu, i tam posługuje się tymi samymi chwytami. Robi się mianowicie przeciwników paragrafu „zwolennikami” przerywania ciąży; podczas gdy takich zwolenników nie ma; są tylko ludzie, którzy twierdzą, że drakoński paragraf nic tu nie pomaga, a wiele szkodzi, i że na innej drodze trzeba szukać lekarstwa.

Natomiast, o ile ślepotą reakcji jest ta sama w Niemczech, co u nas, o tyle trzeba przyznać, że tam społeczeństwo inaczej umie walczyć o swoją słuszność. Walka z paragrafem 218 w Niemczech jest imponująca. Setki zgromadzeń, mów, broszur, książek, cała literatura agitacyjna i uświadamiająca przeciwstawia się obecnemu stanowi rzeczy i żąda jego zmiany. Publiczność urządza owacje lekarzom na sali sądowej. Był wypadek, gdzie lekarza, który odsiedział dwa lata więzienia, wracał do domu, obsypano na stacji kolejowej kwiatami, iluminowano miasto i wydano bankiet na jego cześć.

Ale nigdy jeszcze nie doszło do takiego roznamiętnienia, co w sprawie dr Wolfa. Sztuka teatralna, film, przygotowały grunt. Cała prasa jest tym przepelniona. Uwięzienie dr Wolfa wraz z innymi osobami wmieszanymi w ten proces wywołało nieoczekiwaną reakcję: tysiące kobiet składają na siebie doniesienie do sądów, żądając, aby je aresztowano: w liczbie tych kobiet znajduje się żona pastora, dziekana wydziału teologicznego. Wielu lekarzy czyni to samo. Gdyby sądy brały rzecz ściśle, całe Niemcy zmieniłyby się w jedno wielkie więzienie. Asystentka dr Wolfa zastosowała w więzieniu głodówkę. Wszędzie dyskutuje się proces dr Wolfa, komentując go w sensie nieprzychylnym dla zniechęconego paragrafu. Sam incydent uważa zresztą opinia za nader korzystny, uważając, że paragraf 218 musi na nim kark skrócić.

Charakterystyczne jest, że pisma nasze, zamieściwszy bezmyślne gazeciarskie notatki o aresztowaniu dr Wolfa, o dalszym przebiegu sprawy zachowują głębokie milczenie, jak gdyby kwestia ta tysiącami trupów nie dokumentowała u nas swej „żywołności”!

W związku z paragrafem naszego nowego kodeksu karnego, którego humanitarne zamiary są przedmiotem cichej, ale zaciętej kontrakcji zjednoczonych ciemnych sił, przytoczę tutaj wymowne zestawienie jakie ogłosił świeżo w *Zentralblatt für Gynäkologie* dr Rodecurt z Hamburga. Ginekolog ten zadał sobie trud, aby skontrolować losy pewnej ilości kobiet, które zgłosiły się do niego z prośbą o przerwanie ciąży, a którym on, zgodnie z obowiązującym prawem, pomocy lekarskiej odmówił. Wynik brzmi przerażająco. Oto na 35 oddalonych przez lekarza kobiet, *nie donosiła dziecka ani jedna*, wszystkie natomiast pozbyły się płodu własnym przemyśleniem. *Trzy kobiety przyplaciły to śmiercią*, co wynosi niemal 10% ogólnej cyfry. *W sześciu wypadkach przyszło do ciężkich operacji* (laparotomii) spowodowanych pokątnymi zabiegami.

Straszliwa ta statystyka powinna dać do myślenia tym naszym mądralom, którym się wydaje, że rygorami kodeksu karnego można robić „politykę populacyjną”. Ani jednego urodzonego dziecka, śmierć lub ciężka choroba niemal trzeciej części matek, nie licząc innych schorzeń, taki jest ostateczny bilans tej *polityki*. I oto *idąc za nakazem rozumu i sumienia* widzimy, że dziś, kiedy nasi prawodawcy, idąc za nakazem rozumu i sumienia, zdecydowali się wreszcie położyć kres tej mordowni matek, rozpoczyna się u nas demagogiczna agitacja przeciw najbardziej humanitarnym postanowieniom nowego projektu

naszego kodeksu karnego. Niechże każdy sobie wbije w pamięć statystykę hamburskiego lekarza i niech ci, którzy odważyliby się udaremnić to dzieło ludzkości, wiedzą, ile trupów biorą na swoje sumienie, nie osiągając w zamian nic na korzyść mrzonki, która ich zaślepia.

LEKARZE MAJĄ GŁOS

Podkreślałem przy innej sposobności przyczyny, dla których tygodnik literacki godzi się otwierać przygodnie swoje łamy dla kwestii *na pozór* obcych literaturze. Skoro żyjemy w takich stosunkach, że nawet czasopisma społeczno-lekarskie uchylają się od swobodnej dyskusji w pewnych sprawach, sądzę iż, przerywając to milczenie, „Wiadomości Literackie” spełniają misję obywatelską. Dlatego też pragnę zwrócić tutaj uwagę — wszystkich, ale lekarzy w szczególności — na pracę doc. dr Lorentowicza pt. *O sposobach zapobiegania ciąży*; mianowicie dlatego, że ze względu na oficjalne stanowisko uniwersyteckie autora praca ta stanowi niejako przełom w ustosunkowaniu się naszego świata lekarskiego do tej sprawy.

A głos lekarzy jest tu szczególnie ważny. Bez względu na to, czy Poradnie Świadomego Macierzyństwa będą się mnożyły i w jakim tempie, zawsze — zwłaszcza na prowincji, w szpitalach, w kasach chorych — lekarze pozostaną naturalnymi ośrodkami w tej dziedzinie higieny, a od ich oświecenia, od ich poglądów, od ich dobrej woli zależeć będą losy milionów kobiet, dzieci i rodzin.

Dotąd stanowisko lekarzy w kwestii zapobiegania ciąży było — zwłaszcza w stosunku do klas ubogich, najbardziej tego potrzebujących — przeważnie negatywne. Wynikało to z sugestii wielu fałszywych pojęć, które zaledwie teraz — w ogniu dyskusji — zaczynają się przejaśniać; ale — powiedzmy wręcz — wynikało to również z ich niedostatecznej wiedzy w tej dziedzinie. Studia lekarskie na naszych uniwersytetach nie zajmowały się zupełnie środkami zapobiegawczymi; przemilczały wstydliwie i godnie ten dział higieny, mimo że lada student wylicza przy egzaminie szereg okoliczności — bodaj czysto lekarskich — w których ciąża jest niebezpieczna i niepożądana. Faktem jest, że pod niechęcią lekarzy do udzielania porady w tej mierze krył się często zupełny brak doświadczenia i maskowana powagą bezradność.

Doc. Lorentowicz stwierdza ten brak przygotowania i stara się go wyrównać szczegółowym wykładem o środkach zapobiegawczych. (Dobre i to, choć nie zastąpi kursu praktycznego). Zarazem, dr Lorentowicz stawia zasadę, że wobec naporu zagadnień życiowych — nędzy, bezrobocia, degeneracji rasy, rosnącej plagi poronień — a także wobec doniosłych przemian obyczajowych w dziedzinie seksualnej, zachodzi dla lekarzy konieczność „poddania rewizji dotychczasowych poglądów na środki zapobiegawcze”.

Nie może się utrzymać — mówi dalej — negatywne stanowisko lekarza, oparte na fałszywych pojęciach o „godności stanu”. W każdym wypadku zwrócenia się pacjentki z prośbą o zalecenie środka ochronnego, lekarz powinien sumiennie i życzliwie rozważyć motywy konieczności ograniczenia potomstwa... Szorstka, bezwzględna odmowa oddaje kobietę w ręce partaczy i szarlatanów... Nie wystarczy również powiedzieć chorej: „pani musi się starać o to, aby nie zajść w ciążę”. Jeżeli lekarz uzna, że podane motywy zasługują na uwzględnienie, powinien nie tylko wskazać najodpowiedniejszy środek ochronny, ale nauczyć chorą posługiwać się nim... „Wobec beznadziejności walki z poronieniami zbrodniczymi, dopóki społeczeństwo i państwo nie roztoczy należytej opieki nad ciężarną matką i dzieckiem, a zwłaszcza matką i dzieckiem nieślubnym, dopóki państwo i obywatele nie wezmą na swoje barki ciężaru wychowania liczniejszego potomstwa rodzin niezamożnych, dopóty polecenie środków zapobiegawczych zajściu w ciążę musimy uznać za celowe, słuszne i pożądane”.

Oto wypowiedź jasna i kategoryczna.

Jeszcze jedno godne jest uwagi w tej broszurze. Mianowicie doc. Lorentowicz stwierdza, że o ile encyklika papieska z r. 1930 (*Casti connubii*) bezwarunkowo i bez wyjątków — nawet gdy chodzi o życie matki — potępia i odrzuca przerywanie ciąży, o tyle w sprawie *zapobiegania* ciąży taż sama encyklika przechyla się ku liberalizmowi. Doc. dr Lorentowicz cytuje jej autentyczny tekst, mówiąc: „co dla interesującej nas sprawy ma duże znaczenie, encyklika uznaje wskazania społeczne i eugeniczne dla zapobiegania ciąży”.

zy: *Wolno natomiast i winno się mieć na względzie to wszystko, co przemawia za indykacją społeczną i eugeniczną, byleby się to osiągało środkami dozwolonymi, uczciwymi i w słusznych granicach*” (str. 39 polskiego przekładu encykliki).

Jeżeli interpretacja doc. Lorentowicza jest trafna, wynikałoby z niej, że prowadzona u nas przez pewne sfery akcja przeciw idei *świadomego macierzyństwa* nie ma żadnego autorytatywnego uprawnienia, sprzeczna jest z humanitarnymi intencjami papieża i stanowi jedynie etap samowolnej i egoistycznej walki naszego kleru o straszliwy „podatek obrotowy” od rodzących się daremnie i mrących masowo dzieci.

„HANDLARZE WZNIOSŁYM TOWAREM”... PRZY ROBOCIE

Handlarze wzniosłym towarem, jak ich nazwał Skiwski — a ten zna ich dobrze! — są bardzo zaniepokojeni. Czują, że sklepik zagrożony. Nowa ustawa małżeńska, reforma kodeksu karnego... słowem, trochę światła i powietrza, a ich handelek prosperuje tylko w ciemnościach i zaduchu. Toteż trzeba widzieć, jak się dziś krzątają, trzeba ich widzieć przy robocie!

Powstała, jak wiadomo, w Warszawie pierwsza poradnia zapobiegania ciąży — *Świadome Macierzyństwo*. Znany jest ustrój takich poradni, istniejących od lat w wielu krajach; celem ich — przeciwdziałanie pladze poronień, rabujących zdrowie i życie tylu kobietom. Wobec tego, że paragrafy są tu bezsilne, a nawet szkodliwe, jedynie ochrona przed ciążą — tam gdzie ciąża byłaby katastrofą — może być skutecznym lekarstwem.

Otóż, na pierwszą wiadomość o otwarciu poradni powstał krzyk. Interpelacje, artykuły, komunikaty. Ale nie walczą lojalną bronią, nie ufają ani swoim argumentom, ani swojej pozycji moralnej. Biorą się do rzeczy inaczej: robią — jak się to mówi — wariata. Przedstawiają nową poradnię jako *stację dla poronień*, rozdierają obłudnie szaty nad szkodliwość tego zabiegu, przytaczają statystyki. I nic nie pomagają tutaj żadne wyjaśnienia: powtarzają uparcie swoje z całą złą wiarą świętoszka.

A teraz jak wygląda druga strona medalu. Weźmy do ręki numer „Gazety Warszawskiej”, numer niedawny, z października 1931 r.

Jest tam ogromny stukilkudziesięciowerszowy anons — *anons w tekście*: wiadomo co się za to płaci — reklamujący preparat leczniczy. W samym anonsie nic osobliwego, ot, zwykła sobie reklama apteczna: środek pomaga oczywiście na wszystko, grypa, angina, malaria, gruźlica, krztusiec, kaszel, bóle głowy, choroby żołądka, wątroby, katar żołądka, płuc i nerek, bóle kości, nerwica serca, dyzenteria i wszelkie inne niedomagania. Słowem, żyć nie umierać. Ale prawdziwy sens tego kosztownego anonsu mieści się dopiero w końcowej specjalnej uwadze, która brzmi:

Uwaga: Kobietom w odmiennym stanie — w okresie pierwszych 15 dni — przyjmowanie pigułek X... w ilościach większych niż po 6 sztuk 3-4 razy dziennie nie jest wskazane, bowiem użycie w większych ilościach wywołuje silną cyrkulację krwi, skutkiem czego niezawodnie powoduje niepożądaną reakcję.

Cel anonsu jest zupełnie jasny; wszystko inne jest dekoracją, chodzi tu po prostu o reklamę środka na... spędzenie płodu. Nawet dawkę oznaczono. Ten system ukrytej *negatywnej* reklamy jest doskonale znany; szczególnie znajduje zastosowanie w pismach „dobrze myślących”, bogobojnych, które tym sposobem mogą — wedle rosyjskiego przysłowia — „i cnotę zachować, i kapitał zebrać”. Obłeśna formuła anonsu — owo „*niezawodnie* powoduje niepożądaną reakcję” — trafia zresztą doskonale w styl naszych świętoszków.

A wiecie, jak się kończy ta propaganda *środka na spędzenie płodu* podsuwanego — dla miłego grosza — przez „Gazetę Warszawską”?

Kończy się tak:

P. S. W interesie społeczeństwa i dla dobra ogółu uprasza się o przedruk powyższej notatki we wszystkich dziennikach i czasopismach prowincjonalnych.

Czynimy niniejszym zadość tej prośbie. I z kolei my prosimy wszystkie pisma o przedrukowanie naszego artykułiku. *W interesie społeczeństwa i dla dobra ogółu*. Bo może za wiele już tego cynizmu, nawet jak na „handlarzy wzniosłym towarem”?

„NIEWOLNICE PŁODNOŚCI” A NIEWOLNICZY GŁUPOTY

W trakcie wznowionej obecnie polemiki o „świadome macierzyństwo” obiega prasę pewnego typu ustęp wyjęty z mojego *Piekle kobiet* i odpowiednio spreparowany:

„Trzeba w tym indywidualizować: w pewnych klasach wreszcie należy wychowywać kobiety nieświadome i nienawykłe do elementarnej nawet higieny”.

Zarówno z tego zdania jak i z całego ustępu, który je zawiera, wynika jasno, że, o ile kulturalniejszym kobietom wystarczy wskazać środki zapobiegawcze, o tyle innym, nienawykłym do elementarnej higieny kobiecej, trzeba wszczepić jej pojęcie, gdyż inaczej wszelkie pouczenia będą złudne i bezsilne, jak to wskazuje codzienna praktyka. (Zatem: „...Trzeba wychowywać kobiety, o ile są zupełnie nieświadome...” itd.). Któż by uwierzył, że te moje słowa będą przekręcone i interpretowane w tym sensie, że ja jakoby żądam, aby całą klasę kobiet utrzymywać w nieświadomości i ciemnocie, i na nią przerzucić ciężar płodności?! „Czy Boy nie rozumie — wykrzykuje mój komentator — że tym jednym zdaniem przekreśla cały sens całego swego wystąpienia, że stwarza jakąś klasę „niewolnic płodności”...

Pospieszam tedy uspokoić zaniepokojoną ludność: nie mam zamiaru stworzyć klasy „niewolnic płodności”.

Oto co obecnie w Polsce nazywa się dyskusją i polemiką...

GŁOS ZIEMIANINA

Wśród wielu listów, jakie w związku z poruszonymi przeze mnie kwestiami otrzymałem, uderzył mnie jeden, znamieny tym, że pochodzący z kół wiejskich. List ten, a właściwie *korespondencja*, przeznaczona była przez autora do druku; ale żadne pismo nie chciało jej przyjąć... Skierowana na moje ręce, ukazała się w „Wiadomościach literackich”. Przytaczam ją tutaj, ponieważ stanowi wymowny argument na poparcie mego twierdzenia, iż żyjemy w atmosferze fikcji, jaką jest we wszystkich tych sprawach tzw. *opinia społeczeństwa*.

Wiadomość o projekcie ustawy małżeńskiej nie przeszła u nas bez echa; zaczęło się jednak, niestety, nie od poklasku; wręcz przeciwnie, od protestu! Protest ten, ubrany w napuszone frazesy, sztuczny i pretensjonalny, padł z ust polskich biskupów. Nie straszono nas wprawdzie piekielnym ogniem i szatanami, niemniej straszne jednak ukazano nam horyzonty. A więc zaraza bolszewicka, zagłada ojczyzny, honoru i rodziny! Atak rozpoczął się od razu na wszystkich frontach; zmobilizowano więc całą regularną armię... księży, a nawet rezerwy, tj. sodalicje. Tak zmobilizowane szeregi mają organizować bunt przeciw projektowi, urządzać wiece, gromić z trybun i stojącej do dyspozycji „swojej prasy” rozpustny projekt, zbierać podpisy do głębi oburzonego społeczeństwa, któremu chcą narzucić tę obrazę moralności.

Jak to oburzenie społeczeństwa w rzeczywistości wygląda, przytoczę na autentycznym przykładzie wydarzenia, którego świadkiem byłem przed jakimś czasem. Odwiedziłem znajomych na wsi; wieczorem przychodzi na obowiązkowego bridża ksiądz proboszcz; w trakcie rozmowy oświadcza, że miał cały dzień mnóstwo roboty z uświadamianiem swych owieczek o „heretyckim projekcie nowej ustawy małżeńskiej”; z zadowoleniem stwierdza, że argument, iż w myśl projektowanej ustawy żony będzie można „dowolną ilość razy zmieniać”, spowodował wszystkie kobiety do masowego składania podpisów na proteście. Dalej zwraca się czcigodny ksiądz do gospodarzy domu z prośbą, aby również protest ten podpisali i spowodowali służbę dworską do podpisania. Pani domu, gorliwa sodaliska, z wielkim rozmachem

i oburzeniem objawiającym się nieczytelnością podpisu, sygnuje protest i co rychlej mknie do kuchni zbierać głosy maluczkich. Po chwili wraca z tryumfem. „Wszyscy podpisali — powiada — a ci, co nie umieją pisać, położyli krzyżyki”. „Oświadczyłam im — mówi ta zacna matrona — że straszliwe niebezpieczeństwo zagraża rodzinom; za podszeptem złego ducha ma być wprowadzona ustawa, w myśl której mężowie będą mogli bezkarnie porzucać żony wraz z dziećmi na ulicę bez zaopatrzenia, sobie zaś będą mogli brać inne kobiety, żony zaś będą mogły swobodnie i dowolnie zmieniać mężów, itd. W końcu oświadczyłam, że kto nie podpisze, solidaryzuje się z tym bezceństwem i nie pozostanie chwili dłużej w służbie!” Naturalnie, że po tym końcowym fortissimo oburzenie przeciw reformie było żywiołowe. Wszak groziła utrata posady! Podpisy, a częściej krzyżyki, sypały się jak z rogu obfitości. „Podpisał” kucharz i lokaj, stangret, a nawet dwie dziewczki kuchenne wraz z pokojową nagryzmoły, oburzone, krzyżyki.

Zaiste, sukces nie lada! I to wszystko dzieje się w XX w. w centrum Europy! Można by płakać ze śmiechu, gdyby się nie musiało wyc z oburzenia. W ten „uczciwy” sposób zbierze się w całym kraju i kilkaset tysięcy podpisów. Wprawdzie jestem przekonany, że czynniki rozstrzygające nie dadzą się zastraszyć, chodzi mi jednak o scharakteryzowanie oburzającej działalności duchowieństwa i pokrewnych stowarzyszeń w tak ważnej kwestii. Błagą i terrorem zdobywa się podpisy ludzi nieświadomych. Bo któryż z parafian czy sodalisów zdobędzie się na odmówienie swego podpisu, jeśli ksiądz proboszcz tak nakazuje? Kto ze służby dworskiej nie podpisze, jeśli chlebobdawca da mu do zrozumienia, że w przeciwnym wypadku straci posadę?

Nie ma prawie gazety, w której by usłudni wasale duchowieństwa nie pomstowali przeciw projektowi: w sodalicjach szaleją dewotki, ambony co niedzielę gromią rząd i projektodawców, Polskie Radio usłudnie roznosi na falach eteru te gromy w najdalsze zaułki. A z przeciwnej strony nie robi się nic. Wielki czas zorganizować kontrpropagandę, uświadamiać ogół przez prasę, odczyty i radio o pożyteczności reformy. Raz zwalić ten chiński mur. Całe społeczeństwo potrafi to należyście ocenić.

Stefan Theodorowicz.

POBOŻNE METODY

Obiega prasę prowincjonalną artykułik mnie poświęcony, w którym znajduje się następujący ustęp:

„...tylko nienawiść do Kościoła mogła podyktować p. Boyowi złośliwą anegdotkę o Siostrach zakonnych, posługujących chorym po szpitalach. Siostry te — zdaniem jego — wbrew przepisom lekarskim w jakimś szpitalu zbierały się z rozmysłem na wspólne modlitwy razem z Siostrami z oddziału zakaźnego i roznosiły w ten sposób szkarlatynę na chirurgiczny oddział dziecienny, w tej zbożnej myśli, aby z tych niewinnych istot przedwcześnie przysporzyć niebu aniołków”...

Czytając tę bajeczkę, opartą na bezwstydnym przeinaczeniu moich słów i myśli (patrz *List biskupi*) zastanawiałem się, skąd się ona mogła wziąć i kto ją puścił w obieg? Przypadkowo trafiłem na źródło: jest nim — oczywiście! — „Gazeta Kościelna”, artykuł zaś podpisany jest inicjałami: X. J. M.

Wciąż i wszędzie te same metody! Widocznie muszą być skuteczne w pewnych kręgach... Ale czy nie za drogo opłacone są doraźne sukcesy takich metod? Czy ich mistrze zdają sobie sprawę z tego, że dzięki nim, przymiotniki *katolicki*, *kościelny* mogą się stać stopniowo dla całego oświeconego społeczeństwa godłem kłamstwa, oszczerstwa, ciemnoty? Doprawdy, kiedy się czyta takie ponure brednie, ocenia się skarby mimowolnego humoru zawarte w dziełku księdza Pirożyńskiego! Ten dobry redemptorysta dostarczył przynajmniej śmiechu całej Polsce. No, i podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem. Nie

tak jak X. J. M., którego inicjały dosyć są szczelne, aby zakryć człowieka, a dosyć przejrzyste, aby zdradzić że autorem tej naiwnej i brzydkiej potwarzy jest — kapłan katolicki. Fe!

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nasi-okupanci>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, Nasi okupanci, Biblioteka Boya, Warszawa [1932]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: CJ Isherwood@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0096-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.